



**Aldonka w Afryce**

**PO PROSTU GREGORY PECK**

**TAJEMNICA ZJAWISKA KIRLJANA**

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ**

# ODGŁOSY

ROK XX NR 3 (997)  
16 STYCZNIA 1977 R.  
CENA 3 ZŁ



## ŁÓDŹ-1977

MIECZYŚLAW M. SZARGAN

### TERAZ I ZAWSZE

Słucham Cię miasto u głów sprawiedliwie śpiących tuno  
Zajeżdżo z której wyjeżdżają gwiazdy  
Przewodniczkę łodzi kruchej jak Kwitnąca Gałązka Jabłonki  
Łódzeczko kamienna we mnie z nachylnym niebem  
I całodziennymi burzami staraniami piorunami  
Nożu raniony raną

Słucham Cię miasto powagą chleba  
Od ust odjętego w Twojej Historii  
I chleba podzielonego niesprawiedliwie  
I chleba pomnożonego na stole o dzisiejsze zboże  
Zaczynie snu i rozwidnienie akacji  
Słowo wydarte z milczenia

Słucham Cię miasto Bramy Niebieskiej i Ziemskiej  
Bramy zaryglowanej na uszy głuche  
Bramy kutej w pachnące rezedy szampana  
Bramy wyważonej czerwonym krzyżem rewolucji  
Bramy w której słońce stało na bruku zydami trumien  
Bramy w której wybuchło światło  
Teraz i Zawsze

Słucham Cię miasto krwią moją przelaną z żył Ojców  
Złączony z miastem jak Dziecko z Matką  
Pepowiną i bijącym kształtem serca  
Warownio obronna gdzie ocalał dobytek nadziei  
Nadziejo wylaniających się Dzielnice  
Poranku wstający z kolan przegnięty nieugiętych  
Światło w wirującym listku w które jestem wsłuchany  
Słucham własnym i chętną nieprzejednaną ręką

BOGUSŁAW SIKORSKI

### STYCZEŃ 45

Nad błękitną ziemią  
Zobaczyłem trzy słońca  
Głodne psy wypuszczone  
W dziecięce my  
W piersi serce dziecka  
Cięższe niż olów  
Mój głos zatopila woda  
Milczenia  
Ziemia ogniem rozrywa  
Czerwony horyzont nieba

Biegna do mnie oczy  
Spod burej papachy  
I okrzyk hura  
Zmęczony szary żołnierz  
Stoi przede mną  
Gałubczyk ty wolny  
Skończyła się wojna  
Witam żołnierza  
Który roztopił olów  
Mojego dzieciństwa

## WSPOMNIENIA



BOLESŁAW WOJEWÓDZKI

### TAMTEN STYCZEŃ

12 stycznia 1945 r.

Nie mogę spać. Niemcy przegrupowują swoje siły już od dłuższego czasu. Dniem i nocą kolumna za kolumną wgniała „kocie łby” ulicy Staromiejskiej w śniegowo błotnistą papkę Nieustanny warkot motorów i mlaskanie toczących się kół aut i czołgów nie pozwala na mrużenie oczu. Staram się być spokojny. Po prostu wyprany z trwogi. Instynktownie wyczuwam, że „mechaniczny wąż” zostanie w najbliższym czasie powłartowany na drobne, martwe od cinki, przestanie pełzać po ulicach naszego miasta.

Fama, jak to bywa w miasteczkach rządu Opoczna, niesie co chwilę nowe „wieści”. Hitler zabity! Był za

mach. Niemcy w gruzach! Alianci stosują „dywanowe ataki lotnicze”. Armia radziecka rozpocznie łądą chwilą potężny atak! „Voksy”, czyli Volksdeutsche w żargonie opoczyńskim, „nawiewają” do Rzeszy! Własowcy chodzą, jak niedźwiedzie, po rozpalonej blasze! Węgrzy sprytnie unikają wykonywania niemieckich rozkazów! Austriacy i Bawarczycy ostentacyjnie głoszą: — Deutschland kaputt! Peperowcy, pepesowcy i ładowcy organizują „zreby” robotniczo-chłopskiej władzy!

Te, i tym podobne, wieści przynoszą mi także moi uczniowie i uczennice kompletu Tajnej Organiza-

Dalszy ciąg na str. 3

## NATURA

### PALEC NA PULSIE PLANETY

Wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi, inwazje pajaków i plagi myszy, upadki meteorów i deszcze ryb spadających z nieba — wszystkie te fenomeny natury mają jedno niewątpliwie wspólne: mogą dostarczyć naukowcom niezwykle ważnych informacji. Pod jednym warunkiem — o ile zostaną oni na czas i rzeczowo powiadomieni o tych dziwnych zjawiskach...

Duży, płytki staw w Malajzji, pod koniec 1970 roku był przez okragły tydzień widownią „bitwy żab”. W każdym razie, jak wynikało z relacji mieszkańców Sungei Siput, miejscowości położonej o 200 km na północ od stolicy kraju, Kuala Lumpur, tysiące żab wzajemnie się atakowało, rozszarpało i pożerało, czyniąc przy tym niesamowity zgiełk. Owo starcie trwało od 7 do 13 listopada, gdy jednak na miejsce przybyli zoologowie z uniwersytetu w Manili, znaleźli już tylko kiljanki, żabi skrzek i sporo martwych osobników.

W rzeczywistości mieszkańcy wcale nie słyszeli odgłosów jakiejś walki, był to bowiem po prostu okres godowy żab. Według opinii specjalistów tego rodzaju nietypowe, jeśli chodzi o porę, okresy godowe zdarzają się, gdy po długiej suszy spadnie obfity deszcz. Najwidoczniej ów żabi „koncert” przywabił coraz więcej par, a wśród nich także pewne gatunki żab, których skóra wydzielala truciznę, co — jak przypuszczają eksperci — mogło ostatecznie przyczynić się do tego nieoczekiwanego finału. Zgodnie z ocenami członków uniwersyteckiej ekspedycji, w „bitwie” wzięło udział około 10.000 żab należących do dziesięciu lub więcej gatunków.

Tymczasem rok wcześniej w całym innym miejscu kuli ziemskiej również zaobserwowano niezwykle dziwne zjawisko. W okolicach jeziora Vatterna w południowej Szwecji, na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia w 1969 roku zaczął padać śnieg, który w wigilię przeszedł w deszcz ze śniegiem. Kiedy rano ludzie wyszli z domów, zobaczyli, że ziemia pokryta jest czarnym, oleistym i ziarnistym śniegiem, który brudził ubrania i wprawiał w zdumienie wszystkich mieszkańców wioski. Naukowcy wysłani z Ośrodka Ekologii w Sztokholmie dla zbadania niezwykłego zjawiska ustalili, że śnieg zawiera zanieczyszczenia przemysłowe, a wśród nich DDT o wysoce niebezpiecznym stężeniu.

Dalszy ciąg na str. 6

## JEDNO PYTANIE

KIM JEST BRUNON BUNDER?

Odpowiada: BERNARD SZTAJNERT

Brunon Bunder jest człowiekiem a tym samym, jak każda istota ludzka, odczuwa zagrożenie bądź pochodzące ze świata przedmiotowego, bądź też te niebezpieczeństwa, które ugruntowały się w jego własnej psychice.

Brunon Bunder jest człowiekiem, który próbuje sam siebie uratować i ocalić, ale jest także ratowany i ocalany przez innych ludzi.

Bohaterowie innych moich książek, np. Klaudiusz bytuja w stanie, który nazwać chyba można stanem bezpieczeństwa, stanem niezagrożenia. Postacie te wierzą w siebie i wierzą w dobro otaczającego je świata, Brunon Bunder natomiast czując się ustawicznie zagrożonym sam szuka ocalenia i ratunku.

Kiedy pisałem książki o Brunonie Bunderze uważałem, że literatura jest jednym ze sposobów ratowania człowieka. Dziś, a więc po latach, poglądy te podtrzymuję, a nawet myślę, że literatura wyprowadza człowieka ze stanu bezładu i chaosu zapewnijając mu stan porządku, integracji, spokoju i siły.

Nie wiem, czy czytelnicy, a w każdym razie czy wszyscy czytelnicy rozumieją tę ocalającą funkcję literatury, ocalającą, oczywiście człowieka. Literatura

jest bowiem działalnością humanistyczną. I właśnie dlatego literatura utrwała, poszerza i umacnia byt ludzki, nadaje istocie ludzkiej należną jej godność.

Taki jest klucz do zrozumienia Brunona Bundera.

DLACZEGO PRZECIWI METAFORZE?

Odpowiada: ANDRZEJ BISKUPSKI

Tytuł tomu moich szkiców o poezji, do którego nawijam pytanie, jest wieloznaczny. Może on przyjmować następujące, bardziej rozwinięte postacie: (1) „Nie tylko przeciw metaforze, ale i za metaforą”; (2) „Nie tylko przeciw metaforze, ale i przeciw czemuś ponadto”.

Pierwsze z wymienionych rozwinięć wskazywałoby, że występują przeciwko pewnym tylko typom metafor — najogólniej mówiąc: przeciwko metaforom stanowiącym sztuczne decorum dla wypowiedzi poetyckiej; natomiast metaforę, które niosą określony, niepokojący swą skróconą celnością model dramatycznej sytuacji egzystencjalnej, nie tylko bym sobie cenil, ale i widział w nich realizację postulatów, by poezja spełniała — obok innych dziedzin — ważne funkcje poznawcze, odkrywając to, co poprzez stosowanie zwykłych sposobów postrzeżenie zjawisk i kwestii, i powiadamiania o nich, nigdy nie mogłoby być

najpierw dostrzeżone, a potem zanotowane i przekazane — a właściwie należałoby powiedzieć: nie mogłoby być „postrzeżone w słowach”, gdyż od systemu językowego zależy ostateczny wynik tego, co widzimy. Powiedziałbym zatem, że metafory dekoracyjne, których sporo występowało w praktyce poetyckiej okresu, w jakim pisałem tamte szkice, są tego typu tworami językowymi, które odgradzają nas (przede wszystkim czytelników, ale i w równym stopniu poetów je stosujących) od istoty rzeczy, przeszkadzają w docieraniu do prawdy o ludzkiej sytuacji w świecie, o naszych ludzkich w nim zmaganiach i dążeniach. I przeciwko tak rozumianej praktyce poetyckiej zgłaszałem właśnie swój sprzeciw.

Zresztą (i tu przechodzę do rozwinięcia drugiego) nie tylko przeciw praktyce — praktyka ta wiązała się bowiem z określonymi postawami przejawiającymi się i w poezji, i w krytyce literackiej — i szerzej: z ogólną sytuacją społeczną poezji, sytuacją, która prowadziła do eliminacji z pola uwagi kierunków i tendencji poetyckich nie mieszczących się w kanonie tradycji awangardy krakowskiej. Stąd moje postulaty w zakresie metodologii krytyki literackiej odwołujące się do kategorii prawdy i stąd też moje próby odwołania się do innych jeszcze tradycji poetyckich, spośród których Czernikowy autentyczny zajmował dla mnie miejsce szczególnie znaczące — teoretyczne i przede wszystkim etyczne.

## REFLEKSJE

STEFAN KUBICKI

## KOMPUTER PRAWDĘ CI POWIE...

W jednym z odcinków serialu telewizyjnego „Czterdziestolatek” komputer zdecydował kto ma zostać szefem poważnej firmy. Komputer miał w swojej pamięci zanotowane cechy osobowe: cnoty i wady wielu kandydatów i dokonał wyboru tylko jednego, najlepszego — prawie idealnego szefa, został nim bohater serialu.

Ani mi w głowie powątpiewać w moc komputerów. Wiem, że świetnie liczą, włącznie z „wyciąganiem” średniej, że doskonale pamiętają wszystko co im się powie — programują. Komputery zdolne są wykonywać jeszcze wiele innych czynności powszechnie znanych. A jednak ogarnia mnie niepokój... Czytając doniesienia o nowych możliwościach tych skomplikowanych maszyn i ich wykorzystaniu — myślę sobie całkiem laicko — jeśli komputer potrafi już zastąpić człowieka, a nawet zespoły ludzkie, czy aby w niedalekiej przyszłości nie odbierze mi chleba i nie będzie pisał za mnie felietonów?

Słyszałem o wykorzystywaniu komputerów w sztuce; podobno plastycy czują się już zagrożeni a kompozytorzy, szczególnie tradycyjni, tacy którzy jeszcze uznają zapis nutowy — spiskują. Literaci kokietują się piękną maszyną, oni przeszli niedługo trzęsienie ziemi, jak dotąd telewizja chleba im nie odjęła, wprost przeciwnie — zarabiają na adaptacjach, ale komputer nie ma zamiaru spełniać roli jeszcze jednego przekątnika ich twórczości, komputer chce, a raczej każe mi pisać samodzielnie. Oto przykład: gdyby w cytowanym już „Czterdziestolatek” poleceno komputerowi ująć, dlaczego tylko bohater serialu mógł zostać wielkim szefem a nie kto inny — i gdyby komputer podał szczegóły z uzasadnieniem, szczegóły dotyczące tych „innych” odrzuconych, powstałaby całkiem interesująca powieść z życia wzięta. Podobno, właśnie na takie „prawydzive” powieści, czeka czytelnik.

oczywiście martwił mnie możliwość utracenia posady, ale niepokoił mnie również perspektywa arbitralnych ocen, które niezawodna maszyna będzie wyznaczać z siebie w tempie błyskawicznym. Oto czego się boję:

— udaje się na wystawę malarstwa i grafiki pana X, znanego twórcy z tak zwanym

dorobkiem i nazwiskiem, kupuje katalog, do którego dołączone wyciąg z komputera, czytając: obraz 45 cm na 52, olej, bez tytułu, czas wykonania pracy 4 godz. 17 min. i 18 sekund, użyto farb: bieli ołowiowej 7,3 grama, cynabru 3,2 g., ultramaryny 6,9 g., ocena punktów 12,45. Patrzę do tabeli i znajduję... od 10 do 15 punktów gorzej niż średnia praca, trochę lepsza od dostatecznej, ale brak 7,15 punkta do oceny dobrej;

— idę do księgarń. Na półkach opatrzonej informacją: literatura piękna do 10 punktów słaba (można czytać, ale się nie musi), do 15 punktów gorzej niż średnia (da się przeczytać dla zabicia czasu) i dalej... literatura piękna do 20 punktów (do czytania) powyżej 20 punktów (trzeba przeczytać)

— czytam gazetkę, rubryka „pracownicy poszukiwani” Zakłady imienia itd... poszukują: inżyniera elektronika — ilość punktów wymagana 174, sprzątaczkę — ilość punktów 93, referenta — 107, księgowego — 123, pracownika kulturalno-osiwiatowego — wymagana ilość punktów 119.

Zgłaszam się do Zakładów imienia... itd. i powiadam, że reflektuję na pracownika K.O. Odsyłają mnie do biura informatyki, gdzie komputer obliczy moje punkty. Udaję się do rzeczoznawcy biura i odpowiadam na 1374 pytania, odpowiedzi są błyskawicznie kodowane. Za parę minut otrzymuję wynik — 106 punktów. Do wymaganej minimum zabrakło mi 14 punktów. Raz jeszcze przeglądam ogłoszenie i przy mnie zam się do innych posad: za inżyniera elektronika nie mogę się podać — brak mi 68 punktów, do stanowiska referenta — 1 punktu, na etat sprzątaczkę też mnie nie wezmą, bo przewyższam wymagania o 13 punktów i księgowym być nie mogę... Boję się też awansu.

Któręś dnia komputer — jak w przypadku „Czterdziestolatek” — zaprogramuje mnie na bardzo ważnego szefa bardzo ważnej instytucji. Odmówię?

Nie odmawiać! Zgodzić się z poleceniem, że się do tak wysokiego urzędu nie nadaje...? Co robić? Zamiast do wózki iść, idę do komputera. Niczym na spowiedzi odkrywam sumienie. Szczerze, w głębokim poczuciu prawdy odpowiadam na kilka-set pytań, odpowiedzi są kodowane, czekam kilka minut i otrzymuję... rozgrzeszenie!

„Do wszystkich swoich zalet — czytam opinię komputera — doliczyć należy skromność i świadomość własnej niedokształconości, kandydat na szefa instytucji charytatywnych albo kulturalnych”.

A kiedy już szefem zostanę, znów ogarnia mnie niepokój, sekretarka Zosia odchodzi na emeryturę, muszę zatrudnić kogoś na jej miejsce. Zwracam się więc do biura informatyki i podaję moje (szefa) życzenia. Mieszczą się one na kilkunastu arkuszach. Mam odpowiedzieć na 170 pytań wg wzoru, pytanie: — co sekretarka ma umieć (rzecz jasna — moim zdaniem) — pisać na maszynie, stenografować, obsługiwać teleks, odbierać telefony, parzyć dobrą herbatę, albo kawę, palić albo nie palić papierosów, malować się albo nie, blondynka czy brunetka, wiek od... do... — niepotrzebne skreślić. Wypelniam formularze zgodnie z sumieniem i z danymi w moim dowodzie osobistym (jestem żonaty). Po tygodniu zgłasza się nowa sekretarka i już od progu mówi do mnie: „cześć starzy”

Myślę też z niepokojem o ulatwionym życiu mojego syna. Komputer powie mu do jakiej szkoły ma uczęszczać, jakiego wyuczyć się zawodu i kto wie... czy nie wybierze za niego żony? Boję się, że synowa uda się po radę do komputera w sprawie teściów. A jeśli zabraknie mi punktów? Czy załatwi mi — komputer, nie synowa — dom spokojnej starości?

Cała nadzieja w tym, że komputer choć to maszyna elektroniczna i jeszcze jakaś tam... też się psuje. Mam świeżo w pamięci przykład. Za światło i gaz znowu przychodzi do mnie stary inkasent i rachuje kilowaty ołówkiem na zwykłej kartce, nie perforowanej. Coś tam w komputerze do spraw energii elektrycznej i gazu nawaliło.

## POLEMIKI

## Przyjdzie robot i wyrówna

Od lat czytuję wszystko co dotyczy robotów. A zaczęło to się tak. Przed wojną zobaczyłem w „Piomyku” zdjęcie dziwnego stworu o kwadratowej głowie, z jakimś drucikiem i całego lasky w panczeru. Był to egzemplarz robota — tak stoisł podpis — przygotowanego na Światową Wystawę w Nowym Jorku. Wyznam, że począzwa ta sniła mi się wielokrotnie i dopiero pozbytem się tej smory nocnej, gdy parę lat temu zakupiłem najwcześniejszego robota kuchennego w nliczym oczywiście nie przypominając tamtego sortu lat.

Przyzwyczajenie jednak pozostało i czytam nadal wszystko co ponadnie o robotach i nie tylko o robotach. Także o automatach, komputerach, cybernetyce, informatyce, laserach i tym wszystkim, czym żyje współczesny świat gospodarki i techniki. Ale jednocześnie jestem laikiem, bez dyplomu i proszę Pana Redaktora o zamieszczenie tego listu bo po przeczytaniu artykułu Krzysztofa Pogorzała pt. „Kiedy przyjdzie robot?” („Odgłosy” nr 2/996) wszystko mi się w głowie zmiało, a co gorzej wrócić mogła moje koszmarnie senne. Mam też nadzieję, że znajdzie się zyciwy ekspert i wszystko należycie wyłoży, bo na autora wspomnianego artykułu raczej nie liczę.

Przejdźmy do rzeczy. Autor w sensacyjnej formie już na samym wstępie obwieszcza nam, że w 1973 r. pracowało w światowym przemyśle 2,000 (słownie: dwa tysiące sześćset) robotów. Zadaje dramatyczne pytanie: „Czy jednak można już mówić, że wkroczyliśmy w erę robotów?”. Na pytanie to nie znajdujemy co prawda odpowiedzi aż do końca artykułu, ale za to poniej dowiadujemy się, że chodzi tu „o roboty przemysłowe”.

dalej autor pisze: — „Nie da się jednak ukryć, że jeszcze nie tak znowu dawno, bo ledwie u schyłku lat 50-tych, wypowiedziana wyżej opinia (chodzi o poglądy, że roboty zastąpić roboty — przyjd. E.T.), tu i ówdzie potraktowano jako herezję. Nie dość, że naruszenie obowiązujących wiedz dogmatów, było „coś” — że roboty to czysta fantazja, ich zastosowanie w przemyśle — wygląd dosyć wpatliwej kondyty dziedzin wiedzy futurologii, że dalszy postęp w tej dziedzinie będzie się kierował w stronę automatyzowanych fabryk, kierowanych przez komputery, a nie jakieś tam „niezłowione mechanizmy”, wykonane z drutu i blachy na ludzkie podobieństwo, tymczasem — jako się rzekło — już przed trzema laty w światowym przemyśle pracowało 2000 robotów i... wcale im się niezłowiło!”.

Przepraszam za ten przydługi cytat, ale jest on kluczowy dla całego artykułu, gdyż widać w nim najwyraźniej, że autor nie bardzo wie o czym pisze.

Bo jak wynika z wywodów K. Pogorzała? Zautomatyzowane fabryki kierowane komputerami, to — jego zdaniem — jedna droga rozwoju techniki i technologii, a roboty przemysłowe to inna, jakby lepsza, wyzsza. Otóż nie z tych rzeczy, — „jak często lubi pisać autor artykułu”. Kiedy nadejdzie robot, Robot przemysłowy bowiem, podaje za radziecka „Encyklopedia Cybernetyki” (Kijów 1975) to: „Automatyzacja sterowania, zaprogramowany manipulator...”.

A co ciekawie, sam autor nie sformułował precyzyjnie swego artykułu przytaczając nieco wcześniej inną definicję robota przemysłowego, jako: „urządzenia do automatycznej manipulacji”.

Chyba więc dla „urządzenia do automatycznej manipulacji” znajdzie się miejsce w „zautomatyzowanej fabryce”.

„Ale nie koniec na tym. Autor przeciwstawia nieświadomie (bo trudno to inaczej nazwać) komputery robotom przemysłowym nie wie o tym, że współczesne roboty (np. typu „Versatran” czy „Unimat”) są sterowane bądź przez człowieka przy pomocy specjalnych pulpitów, bądź przez komputery. Te drugie to wyższy typ rozwoju. Tendencja konstrukcyjna jest zresztą taka, że zależność robotów od komputerów będzie stała się wzrastająca.

Krótko mówiąc K. Pogorzalec przypomina człowieka, który obwieszcza, że przyszłość należy do energii atomowej i głosi zmierzchn prądu elektrycznego.

To przeciwstawianie rozwoju „zautomatyzowanych fabryk kierowanych przez komputery”, robotom jest jeszcze bardziej zabawne, gdy autor niemal z emfazą obwieszcza jakieś „zdolne” sa współczesne roboty przemysłowe. Potrafią bowiem one już wykonać także czynności jak: spawanie lutowe, zrzucanie punktowe, załadunek i wyładunek pojemników, lakierowanie natryskowe. Ba, nie sa one wcale „obezcone”, w człowiecze kształty i dysponują różnego typu wycielnikami, chwytakami, szczypcami; poruszają się nawet na szynach podwieszonych u pułapów hal.

Od siebie dodam dla uzupełnienia, że sa też roboty wykonujące prace podwodne, oraz w przemyśle szklarskim i w przedsiębiorstwach gdzie występują silne źródła radioaktywne. Po prostu tam, gdzie istnieje niezłomne warunki dla zdrowia człowieka.

Na zakończenie jeszcze parę zdań o wspomnianym przez autora eene-racji robotów, K. Pogorzalec pisze: „Roboty trzeciej generacji to pokonanie jeszcze jednej bariery... bowiem należy przyszywać że dojdzie do „uzbrojenia” ich w ósrodek... sluchu oraz — aż boje się to powiedzieć — mózgu...”. Takie sa prognozy japońskich naukowców.

Mój ulubiony w tym miejscu wzorem autora napisane: „no, cóż...”. Sumienie jednak nie pozwala, otóż niech się Pan nie boi, Na pewno pamięta Pan, że kiedyś można było elektronicznie nazywano obecne komputery, które wchodzi już w czwartą generację. I proszę mi wierzyć, że ci anoniimowi Japończy naukowcy którzy zdaniem Pana, sniła takie przewidywania, po prostu dąza do ściślejszego skojarzenia komputerów z robotami, i nie jest to żadna rewelacja chyba że w znaczeniu reklamowym.

Czytamy zresztą w „Małym Słowniku Cybernetycznym” (Warszawa 1973): „Robot — termin historyczny często używany (i nadużywany) w języku publicystycznym i reklamie handlowej...”.

Wiele i interesująca pisze o tych problemach Albert Ducrocq w książce „Era robotów” (Warszawa 1960). Książka już nieco przestarzała, ale teża Ducrocq o zasadniczej różnicy między mózgiem człowieka a najbardziej wyobraźnia złożona maszyna sa do dziś aktualne. Pisanie zatem sensacyjnych wstępów w rodzaju „Czy dojdzie do tego, że zastąpią nas — roboty”, wymaga minimum informacji o przedmiocie. Chyba, że chodzi o serwyne pisanie artykułów na dowolny temat.

Przepraszam za te parę uwag, które oczywiście nie wyczerpną całokształtu problematyki. Myślę, że ekspert uwzględni jeszcze bardziej rozwinięte i wzbogać.

EDMUND TULKO

Wszystkim zainteresowanym Czytelnikom przypominam, że słowo „Robot” wprowadził do obiegu literackiego w 1920 r. Karol Czapka w dramacie fantastyczno-naukowym „R.U.R.” — i nadał je istotom biochemicznym stanowiącym imitację człowieka.

## W ODPOWIEDZI POLEMIŚCIE!

DO REDAKTORA „ODGŁOSÓW” Szanowny Towarzyszu Redaktorze, z szacunkiem sklaniam się przed głębiokimi i krytycznymi uwagami red. Edmunda Tulki. Gdyby to jeszcze... no, ale to już nie moja sprawa zmartwienia. Natomiast nie mogę odmówić sobie drobnej ale dobrej i to, osobistej satysfakcji. Okazało się bowiem, że mój artykuł potrafił ożywić uśpioną w kimś i to od lat, publiczność wene. W ten sposób już teraz nie tylko my obaj, wiemy, że i w dziennikarskim środowisku krwija się niebażaelne rezerwy.

Z poważaniem: KRZYSZTOF POGORZELEC

## KUPON

Janusz Dunin  
Andrzej F. Grabski  
Tomasz Kiesewetter  
Grzegorz Królikiewicz  
Mieczysław Nowicki  
Urszula Piażewska  
Henryk Płóciennik  
Jerzy Przybylski  
Igor Sikirycki  
Teresa Skoczyła

Imię i nazwisko  
Adres  
Zawód

Wypelnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 1 lutego 1977 roku w kopertach z dopiskiem „Łodzianie 1976”.

## INFORMACJE

## GRATULACJE DLA W. GARBOLIŃSKIEGO

Przed kilku dniami I sekretarz KL PZPR Bolesław Koperski w towarzystwie wiceministra kultury i sztuki Tadeusza Kaczmarka, przyjął Wiesława Garbolińskiego, rektora łódzkiego artysty malarza, rektora PWSSP, prezesa Zarządu Łódzkiego ZPAP, z okazji 50-lecia jego urodzin. B. Koperski życzył jubilatowi dalszych sukcesów artystycznych i pomyślności w życiu osobistym. Wiceminister kultury i sztuki T. Kaczmarek złożył W. Garbolińskiemu gratulacje oraz przekazał list z życzeniami od wiceprezesa Rady Ministrów, ministra kultury i sztuki Józefa Tejmchy.

## NOWOŚCI „KSIĄŻKI I WIEDZY”

Z cyklu wydawanych przez „Książkę i Wiedzę” podręczników i materiałów do szkolenia ideologicznego ukazała się ostatecznie praca zbiorowa pod redakcją Augustyna Wosia pt. „Polityka rolna PRL — wybrane problemy”. Podręcznik poświęcony jest omówieniu węższych problemów polityki rolnej w naszym kraju. Zawiera wykaz literatury uzupełniającej, słowniczek ważniejszych pojęć ekonomicznych oraz a nekst statystyczny.

## CIEKAWA WYSTAWA

W godzinach od 10 do 16 do końca stycznia br. można zwiedzać ciekawą wystawę, która się mieści w gmachu Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP przy ul. Gdańskiej 165. Na wystawie pt. „Piękna nasza Polska cała” prezentowane są rysunki dzieci i młodzieży z drużyn uczniowskich i harcerskich „Nieprzetrątego Szlaku”, działających w szpitalach, sanatoriach i Państwowych Domach Pomocy Społecznej na terenie województwa łódzkiego. Wystawa jest właśnie zakończeniem konkursu rysunkowego pt. „Piękna nasza Polska cała”, na który nadesłano ok. 400 prac. 140 najciekawszych rysunków przebrnęło eliminacje a wszyscy uczestnicy otrzymali nagrody w postaci książek i zabawek ufundowanych przez Komendę Chorągwi Łódzkiej ZHP, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej przy Urzędzie Miasta Łodzi, Ligę Ochrony Przyrody i „Stomil”.

## FILMY ŁÓDZKICH REŻYSERÓW

Z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi w sześciu łódzkich kinach prezentowane będą w dniach 17—22 bm. filmy obrazujące dorobek łódzkich reżyserów i aktorów, ukazujące obraz naszego miasta. Filmowo-projekcyjnym towarzyszyć będą spotkania z popularnymi aktorami. Na początek odbędzie się prapremiera „Czerwonych cierni” reż. Juliana Dziedziny. Film pokazuje walkę łódzkich robotników w czerwcu 1905 r. oraz ludzi różnych środowisk i ich różne przekonania polityczne.

## DARY DLA MUZEUM FARMACJI W KRAKOWIE

Muzeum Farmacji w Krakowie — jedyne w Polsce i jedno z nielicznych tego rodzaju na świecie — obchodzi już 30-lecie swej działalności. Muzeum wzbogaca swoje zbiory m.in. dzięki kolekcjonerskiej pasji rodaków z zagranicy. Jednym z „mecenatów” krakowskiego muzeum jest właściciel antyk. w Londynie — Mateusz Bolesław Grabowski, który niedawno przekazał w darze kolekcję 83 włoskich, holenderskich i angielskich naczyń aptecznych z XVI i XVII wieku.

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESLAW JA2DZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIŁ, JANURZ SZYMANSKI-GLANC.

## PROBLEMY

Kilka dni temu gazety codzienne podały wiadomość, że wrocławskie zakłady „FREEDOM — POLAR” w pierwszym kwartale 1977 roku wypuszczą 5 tysięcy sztuk automatycznych mini-pralek. W całym roku dadzą ich 20 tysięcy sztuk. Niezależnie od tego „FREEDOM — POLAR” da w tym roku na rynek 210 tysięcy sztuk dużych automatów i będzie to dwa razy więcej niż w ubiegłym roku.

Wybieram tę wiadomość spośród wielu innych z całą świadomością i z dwu powodów. Powód pierwszy to mianowicie fakt, że stanowi ona odpowiedź na postawione przez V Plenum KC PZPR zadanie zwiększenia produkcji poszukiwanej na rynku. Powód drugi — to nie tylko handlowa atrakcyjność tej produkcji, ale i jej pewien walor społeczny.

Trudno dziś wyobrazić sobie jakąkolwiek rodzinę, która chciałaby funkcjonować bez należącego „uzbrojenia” w sprzęt gospodarstwa domowego. Jak wynika z badań Komitetu Gospodarstwa Domowego wśród młodych małżeństw lodówki posiada 70 ich procent, a chciałoby mieć 93 proc. Stacjonarne, czteroosobowe rodziny natomiast w pełni dysponują lodówkami. Posiadają ją na przykład w 52 procentach mini-roboty kuchenne, a chciałoby mieć je wszyscy badani. Podobnie jest i z pralkami. Nawet ci, którzy korzystają z pralni spółdzielczych, starają się mieć w łazience chociaż małą pralkę do drobnych przeprerek.

V Plenum KC PZPR ustaliło taki kierunek działania, że w jego wyniku niemal jedną trzecią nakładów inwestycyjnych przeznaczają się do dalszego rozwinięcia tych dziedzin wytwarzania, które przyczyniają się do lepszego zaopatrzenia rynku. Prowadzona przez partię polityka społeczna zakłada dalszy wzrost realnych płac. W najbliższym czasie mają one wzrosnąć średnio o 3 — 4,4 proc., ale w całym pięcioletniu mają wzrosnąć o 44 procent. Wzrostowi płac musi towarzyszyć odpowiedni wzrost produkcji. Założono więc, że w całym pięcioletniu wzrost produkcji kierowanej na rynek musi być wyższy o co najmniej 60 procent, ale artykułów przemysłowych o 66 proc. mebli — o 90 proc., samochodów osobowych — dwukrotnie, a kolorowych telewizorów — przeszło dziesięciokrotnie. Dla utrzymania równowagi rynkowej niezbędne jest bowiem, aby wzrost płac realnych był wyprzedzany przez wzrost dostaw na rynek.

Realizuje się u nas zasada, że dobra praca musi być dobrze nagradzana, czyli dobrą płacą za dobrą pracę. Jeśli więc — jak to jest popularnie mówi — płynnie na rynek strumień pieniędzy, to musi równolegle płynąć szerszy strumień towarów. Obecne trudności polegają między innymi na tym, że strumień pieniędzy wyprzedził strumień towarów, jeśli już trzymać się obrazowych porównań. A stało się tak między innymi dlatego, że w ostatnich latach przemysł dostał poważny zastrzyk nowoczesności, którego jeszcze nie potrafił wykorzystać.

Nowe fabryki buduje się nie tylko w uprzemysłowionych ośrodkach, gdzie kadra robotników posiada określone nawyki produkcyjne, ale też i w ośrodkach nieuprzemysłowionych, gdzie dopiero takie nawyki trzeba wytworzyć. Powoduje to często opóźnienia w dochodzeniu do pełnych możliwości produkcyjnych. Ze względu na społeczne jednakże nie można nadmiernie rozbudowywać ośrodków przemysłowych, a więc trzeba po prostu w planowaniu i prognozowaniu liczyć się z możliwością opóźnień w dostawach na rynek i z możliwością dotarcia na rynek towarów niższej jakości. Liczyć się — to nie znaczy jednak GODZIĆ SIĘ.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## SPOJRZENIA

Dobrym przykładem może tu być „DYWILAN”, który sprawnie spłacił swoją produkcją zagranicę kredyty i teraz może pełniej zaopatrzać rynek. Ale też „DYWILAN” jest przykładem na to, że fabryka wybudowana w tradycyjnym ośrodku przemysłowym w mniejszym stopniu jest narażona na wahnięcia w terminie dochodzenia do pełnych możliwości produkcyjnych i w osiąganiu wysokiej jakości.

Strumień pieniędzy, jaki obficie płynął do naszych kieszeni spowodował też wzrost naszych wymagań. Wchodząc do sklepu klient chce widzieć nie tylko dobrze wypełnione półki i lady, ale też i różnorodność towarów, chce mieć prawo wyboru i decydowania o kupnie. Nie interesuje już go pralka w ogóle, ale automatyczna mini-pralka. Chce, aby lodówka pasowała mu do wnętrza, aby mieściła się w zabudowie kuchni i dobrze wypełniła swą rolę, jako że dziś klient — niestety — kupuje jeszcze żywność wtedy, kiedy ona trafi do sklepu, a nie wtedy, kiedy jest mu potrzebna. Bowiem jeszcze ani przemysł, ani handel nie są w stanie spełnić takich postulatów klienta. Niezadowolony klient, wychodząc ze sklepu jest gotowy do zbytnich i nie zawsze uzasadnionych uogólnień.

Dążymy do tego usilnie, aby w społecznej świadomości nastąpiło zderzenie dwóch faktów: niewątpliwych osiągnięć ostatnich 6 lat i występujących trudności i aby w wyniku tego zderzenia nastąpiło wyrównanie proporcji między jmi faktami. Jednakże takie wyrównanie nie zawsze następuje w pogoni za poszukiwanym towarem nie łagodzi świadomości, że zbudowaliśmy Port Północny, Dworzec Centralny, modernizujemy Łódź, ruszyła Huta Katowice i samochody jeżdżą po Trasie Łazienkowskiej. Nie wynika jednakże z tego, że trzeba zrezygnować z przypominania i dokonania, że musimy rezygnować z dumy z osiągnięć. Ale warto też chyba rationally i silnie akcentować cele i nasze potrzeby.

Jeśliby sięgnąć do danych RWPG to wynika z nich, że w 1974 roku w Polsce na jeden punkt sprzedaży przypadło 165 mieszkańcówn, a w NRD — 148. W innych krajach RWPG liczba osób przypadających na jeden punkt sprzedaży detalicznej była znacznie wyższa, na przykład w CSRS — 219, a w Rumunii — 395. Osiągnęliśmy więc tu dobry poziom, ale też nie jesteśmy jeszcze z naszego handlu, systemu jego funkcjonowania, jak i jego geografii w pełni zadowoleni, choć trzeba przyznać, że ostatnimi laty i pod tym względem wiele się zmieniło.

Jeśliby teraz porównać to, co w tych sklepach kupiono i zainstalowano w gospodarstwach domowych, to okazałoby się, że również nie wypadamy tak źle, chociaż sporo jeszcze mamy do zrobienia i w tej dziedzinie. Oto sięgając do tych samych danych RWPG dowiadujemy się, że w 1974 roku na 100 gospodarstw domowych posiadano:

— radioodbiorników: — w Polsce — 105, w CSRS — 165, na Węgrzech — 76;

— telewizorów: — w Polsce — 77, w NRD — 80, w CSRS — 89, na Węgrzech — 61;

— pralek: — w Polsce — 84, w NRD — 70, w CSRS — 105, na Węgrzech — 61;

— samochodów osobowych: — w Polsce — 6, w CSRS — 27, w NRD — 24, na Węgrzech — 10.

Natomiast przy porównaniu powierzchni mieszkań oddanych w 1974 roku do użytku nie wypadamy najlepiej, jako że u nas przeciętna powierzchnia wynosi 56 m kwadratowych, podczas gdy w CSRS — 68, w Bułgarii — 65, na Węgrzech — 62,5, a w NRD — 60 m kwadratowych. Ale też i u nas problem mieszkaniowy stał się kwestią pierwszoplanową i partia skierowała na niego szczególną uwagę, dając do tego, aby w następnym dziesięcioleciu można było realizować zasadę samodzielnego mieszkania dla każdej rodziny.

Warto tu jeszcze zwrócić uwagę, że w tymże 1974 roku w Polsce na tysiąc dzieci w wieku do 3 lat do żłobków odnieszono 50 dzieci, podczas gdy w NRD — 403, w Bułgarii — 128, w CSRS — 102, w ZSRR — 82, a na Węgrzech — 105. Rozbudowa żłobków, zwiększenie ilości miejsc w nich i objęcie tą formą opieki nad małymi dziećmi większej ich ilości nie jest sprawą łatwą, chociaż też jest to forma pomocy pracującej kobiecie, która wpływa na ogólny poziom życia. Potrzeba jednakże na to i pieniędzy i możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw budowlanych. I jest to również problem, z którym trzeba się będzie w najbliższym czasie uporać.

W połowie ubiegłego roku wielu z nas zadawało sobie pytanie: dlaczego pojawiły się trudności? Odpowiedziało na to pytanie były stwierdzenia V PLENUM KC PZPR, które nie tylko wskazywało przyczyny występujących trudności, ale też nakreśliło sposoby ich przezwyciężenia. V PLENUM KC PZPR dało każdemu z nas bogaty materiał do własnych i różnorodnych przemyśleń, które powinny stać się podstawą naszego codziennego udziału w kształtowaniu teraźniejszości i przyszłości kraju.

Podnosząc problem jakości życia wielokrotnie już wskazywano, że nie można go odrywać od jakości pracy. W praktyce jednakże wielu z nas częściej skupia swoją uwagę na jakości życia, pozostawiając na boku jakość pracy. A jest to podważanie w sobie samego siebie, w ocenie naszej codziennej rzeczywistości. Nie osiągniemy bowiem wzrostu poziomu życia bez poprawy jakości pracy, bez dalszego wyzwolania się z dotychczasowych warunków. Też bazy nie możemy wobec tego wykorzystywać w całym o nowych możliwościach. Też bazy nie możemy wobec tego wykorzystywać w całym o nowych możliwościach. Też bazy nie możemy wobec tego wykorzystywać w całym o nowych możliwościach.

Warto też pamiętać, że w tymże 1974 roku w Polsce na tysiąc dzieci w wieku do 3 lat do żłobków odnieszono 50 dzieci, podczas gdy w NRD — 403, w Bułgarii — 128, w CSRS — 102, w ZSRR — 82, a na Węgrzech — 105. Rozbudowa żłobków, zwiększenie ilości miejsc w nich i objęcie tą formą opieki nad małymi dziećmi większej ich ilości nie jest sprawą łatwą, chociaż też jest to forma pomocy pracującej kobiecie, która wpływa na ogólny poziom życia. Potrzeba jednakże na to i pieniędzy i możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw budowlanych. I jest to również problem, z którym trzeba się będzie w najbliższym czasie uporać.

W połowie ubiegłego roku wielu z nas zadawało sobie pytanie: dlaczego pojawiły się trudności? Odpowiedziało na to pytanie były stwierdzenia V PLENUM KC PZPR, które nie tylko wskazywało przyczyny występujących trudności, ale też nakreśliło sposoby ich przezwyciężenia. V PLENUM KC PZPR dało każdemu z nas bogaty materiał do własnych i różnorodnych przemyśleń, które powinny stać się podstawą naszego codziennego udziału w kształtowaniu teraźniejszości i przyszłości kraju.

Podnosząc problem jakości życia wielokrotnie już wskazywano, że nie można go odrywać od jakości pracy. W praktyce jednakże wielu z nas częściej skupia swoją uwagę na jakości życia, pozostawiając na boku jakość pracy. A jest to podważanie w sobie samego siebie, w ocenie naszej codziennej rzeczywistości. Nie osiągniemy bowiem wzrostu poziomu życia bez poprawy jakości pracy, bez dalszego wyzwolania się z dotychczasowych warunków. Też bazy nie możemy wobec tego wykorzystywać w całym o nowych możliwościach. Też bazy nie możemy wobec tego wykorzystywać w całym o nowych możliwościach.

## WSPOMNIENIA

# TAMTEN STYCZEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

cji Nauczycielskiej. Uśmiecham się już beztrako.

Janusz Baran, uczeń drugiej klasy gimnazjalnej mojego kompletu, odczekawszy na moment, kiedy wyszły już koleżanki, przemówił szepem:

— Panie profesorze, takich jak pan, mogą Niemcy, szczególnie teraz nie oszczędzić. Przynieśli granaty. Będzie pan mógł się bronić.

Przyścisnąłem Januszka do piersi ucałowałem głową czupryną i uspokoiłem:

— Dziękuję ci za dobre serce. Wy korzystam granaty. Przydadzą się! Wsiadł na ławę, jak rzadko kiedy, poprawnie, z przejęciem. Podziwiałem grę urzeczony. Otwarte, do skarcenia, usta zamknął mi ostatni akord Odruchowo otarłem oczy.

Basia Wojciechowska, celująca uczennica, koleżanka Janusza, zwracając mi pożyczony podręcznik historii, zagadnęła:

— Prawda, proszę pana, że po wypędzeniu Niemców będzie w Opocznie otwarte gimnazjum? Tak bardzo pragnę się uczyć.

— Tak, prawda — odpowiedziałam krótko — kładąc znacząco palec na ustach.

14 stycznia 1945 r.

Dzisiaj obudziłem się później niż zwykle. Żegar wskazywał ósmą trzydziestkę. Kończyłem gołenie. Wpadł woźny szkoły Waław Dębowski.

— Proszę pana, kierownik Lembitz obawia się wyznać nosa z mieszkania. Niemcy „szkują” się do opuszczenia szkoły. Już pakują na auto swoje „klamoty”. Ale „grają!” Ale grzmoty — od Wisły! Za dwa, trzy dni będą u nas radzieccy żołnierze.

— Dobrze, Wałcu — tak się zwracałem do woźnego w przystępie dobrego humoru — pomyślmy i o tym. Będę u pana. Kiedy? Trudno określić czas. W każdym razie dzisiaj. Na pewno!

Dzisiejsze lekcje w tajnych kompletach „zeszły na pogaduszkiach” — tym, jaki będzie ustrój. Obiecałem zapoznać uczniów z treścią Manifestu Lipcowego. U niektórych uczniów zaobserwowałem konsternację.

Wyszłem na ulicę. Wstąpiłem do magistratu. Nic nowego. Znadnej „władzy”. Mówią o nagłym wyjeździe burmistrza Przywarskiego.

Odwiedziłem Dębowskiego.

— Każmierzówkę — zaczął — opróżniają ze zboża. Więźniów z góry wywieźli. „Jedynkę” także „obdarli” z wartościowego sprzętu. Zostawili tylko kilka szpitalnych łóżek. Root się cicho. Coś za cicho. Boją się radzieckich katusz. Ale „wala!” Az szczy drzą!

— Niech pan zbierze możliwie największą ilość kluczy i czuwa, by w porę pozamykać obie szkoły. Odśwież!

— Tylko to? — spytał woźny.

— Wystarczy — zaakcentowałem. Do rychłego zobaczenia. Zdażyłem wrócić do domu zanim długa kolumna czołgów nie przecięła mi drogę.

Zona przy maszynce do szycia. Szyje woreczki na żywność.

— Ten na cukier, ten na kaszę, ten na groch, ten na sól, a ten, z brzośnią, z otworami obramowanymi aluminiowymi kółkami, na słoninę, a tu, ze starej firanki, przewiewny, na suchary.

— Dobrze, dobrze — zbylem jej zachwytu. Zabrałem się do czytania komunikatu, który wręczył mi po drodze porucznik Lassak. Ledwo skończyłem czytanie, gdy szczy drzew wyścieliłych do ogrodu Chrząstowskich zadzwoniły mocniej, chociaż huk dział ustął. Pewnie pies, Prymus, starym zwyczajem, skacze do kłamki, prosi, by otworzyć drzwi — pomyślałem. Przedtem odruchowo

zwinąłem „bibułę”, podszedłem do żelaznego piecyka, odsunąłem „brytfannę” z zarumienionymi „pajdami” chleba, wrzuciłem zwitek na rozpalony węgiel. Spalone, czarne szczątki porwał ciąg powietrza. Zbliżyłem się do drzwi. Odsunąłem zasłonkę. Miżem, chudy, jak przysłowiowa szczapa, feldfebel dygotał z zimna, spoglądał rozgorączkowanymi oczyma. Uchyliłem drzwi.

— „Moszno”? Jest „szimno” — cędził, dzwoniąc zębami.

— Proszę — szerzej otworzyłem prawie skrzydło drzwi.

Dyplomant trzech fakultetów z Norymbergi chlupał zapewne w zapomnieniu „ersatową” kawę i „chrupał” dopiero co zebrane z blachy suchary z tak zwanego chleba „koksowca”.

— „Czeple, dobre” — mlaśkał językiem. „Soldat i soldat — kaszdy inny. Co być Pan Bóg wiedziec?”

Stałem zimny jak głaz. Ani się dziwiłem, ani litowałem. Uważałem, że nie warto zadawać sobie trud na komentarz.

— „Gute Nacht. Sztuba. Muti. Czecka. Bet — luzsko” — cędził woźno. Lzy spływały mu po nieogolonych od paru dni policzkach.

Milczałem.

Kiedy wychodził, zbliżył się do synka i wzruszonym głosem szeptał: — Kind, Kind, czecko, czecko...

16 stycznia 1945 r.

W mieście chaos. Hitlerowcy, podrażnieni sowieckimi nalotami bisgają i jeżdżą, jak wściekli. Na Błoniach rządy „Tygrysów” skierowują lufy na wschód. Artyleria przeciwlotnicza, zamaskowana w krzakach, kąsa nisko krążące samoloty wśród opuszczonego chmur. Ulice puste. Co śmieśli cywile wychylają się z bram. Ludność powędrowała na wie i w pola, lub schowała się z cenniejszymi dobytkiem w piwnicach. Znowo ożywione ruchy wojsk. Coś się Wehrmacht, ten, który zwyciężał na wszystkich frontach.

W naszym ogrodzie leży zastrzelony koń. Odarty z siódła. Obok żołnierzy, przeraża szklistym, obłożonym wzrokiem. Bez płaszcza, bez czapki, bez butów. Wywrócone szerszenie, porwane „szlufiki” u spodni. Już grasują „hieny”.

Huk radzieckich dział zbliża się z godziny na godzinę. Spłoszone wróble przycupnęły w krzakach. Wrony i kawkę penetrują wyludnione podwórka.

W piwnicy duszno. Pod wschodnią ścianą wysoko ułożone toboly z pościelą. Na niskich stołeczkach i ryczkach siedzą wylekli ludzie. Młok karmia niemowlęta. Chodzące pociechy bawią się beztrako swoimi z bawkami. Wołają na przemian: — Jeste, ssiuu, kupka! Niektóre kobiety wyspieliwą godzinki. Młodszy przebierają paciorki różańca. Ojcowiciele w ruchu. Zony wydają mężów rozkazy: — „Flizanke!” wynieś! Przynieś świecę! Zapomniałam książkę leży na stole! Mężowie machają rekami, z grymasem wychodzą.

Około południa eksplozje przybrały na sile. „Ruszały” piwnica. Plac modlitwy, próby, przekleństwa. komenda nawołująca do zachowania spokoju — mieszały się w potężne larum.

Uchylił ataki. Wyszłem na podwórko. Znowo usłyszałem warkot naderżających samolotów. Płyną nad mną. Naraz znany świst bomby lotniczej. W centrum miasta szczykała broń maszynowa. Usunąłem się do przedsionka. Potężny wybuch wstrząsnął powietrzem. Raptowne trzaski zamkniętych drzwi! Brzęk tłuczonego szkła! Kłęby gryzącego dymu przesłoniły podwórko.

— Ratunku!... skamłający głos biegał o pomoc.

Podbiegłem do podnoszącego się mężczyzny. To Wojciechowski, Edward.

Ranny, spocony, trzęsąc się jak w febrze, wskazywał na ramie. Rozpruty kołcz, krew. Chwyliłem Wojciechowskiego stróżnie za zdrową rękę, poprowadziłem do piwnicy. Kobieci szybko porwały czystą poszwę na bandaż. Rozpruliśmy rękaw. Z niemałym trudem zdeliśmy okrycie. Szybko, „na harcerską modłę”, opatrzyliśmy groźną ranę. Nie czekając na zakończenie potyczki odwieźliśmy

ranego do miejscowego szpitala. Prowadzący konia, Ciesielski, orientował się skąd strzelają, więc jechał lewą stroną Staromiejskiej.

Zanim dojechał do „Dziwulanek” już przerażająca cisza zapanowała w mieście.

Przed wejściem do mojego domu, od strony ogrodu, głęboki lej po bombie lotniczej. Lotnik omylił się o tak zwany „koński paznokiec” a z domu została by kupa gruzów. Szyby potrząskane. Sąsiadka Białasowa mówi:

— „Syby posły w drobny mak!”

17 stycznia 1945 r.

Dzisiaj, już od trzeciej, rano, doprowadzałem swoje mieszkanie do porządku. Przy świetle lampy naftowej wymiatałem szkło, nie tylko z podłogi, także z zasłon, otworów okiennych i drzwiowych oraz z nawierzchni szaf, stołów i krzesel.

Okna „oszkliłem” dyktą i grubą tekturą, zostawiając małe, szklane okienka.

O dziewiątej wyszedłem na ulicę. Uderzyły mnie poprawki na afiszach z dumnym napisem, hasłem: — „Deutschland siegt an allen Fronten!” „Sieg!” przerobiono na „Sieg!” Wszystkie afisze podarte na strzępy. Wiatr żałośnie szeleścił tymi swoistymi klepsydrami po zmarłej od dawna wyrokowaną śmiercią Wielkiej Rzeszy.

Trupy, trupy. Pełno porzuconego sprzętu. Zaśmiecone ulice. Pogryzione przez kule tyunki. Puste oczołody domów. Porwana sieć telefoniczna, elektryczna.

Na placu Kościuszki, w pobliżu pomnika, trup młodej dziewczyny. Ktoż to? — Basia Wojciechowska, moja prymuska. Spł spokojnie. Rozchylone usta, bielusińskie zęby, zsiadłe wargi, jak przejrzałe truskawki, spadłe na ziemię, poplaskane.

Schyliłem głowę. Utażony skowit głuszył myśl. Ubył Polsce świetny naukowiec in spe.

Bernard Klodawski, kolega Basi, z tegoż co i ona kompletu TON, dopadł mnie zadyszany, wycedził prawie z płaczem:

— Panie profesorze, Basię Gol trafił pocisk z działka lotniczego w samo serce. Jeden, jedyny wystrzał. Przycupnęła wśród wórków z mąką w drewnianym domku w Drzewicy. Ten pocisk, widocznie, przeznaczony był tylko dla niej.

Znowo opuściłem głowę. Taka zdolna uczennica, tak świetnie zapowiadająca się skrzypaczka. W ciągu półtora roku lepieł niż ja, grała całego Maleczka. Znowu ubył Polsce wielki artysta. Gdybyśmy mogli policzyć stracone w tej wojnie talenty!

Oglądam miasto. Pozbawione szyb wystawy sklepowe treuhaenderów przedstawiają żałosny widok. Portrety władców świata obrzucone błotem, wykłute oczy, posiekane swastyki i Eisernenkreuze.

A szkoły? O groźno! Nie oszczędzono je. Brak kompletów okien, porwana instalacja, wydarte z pieców drzwiczki, brak szaf umywalk, nawet i ławek szkolnych.

Dębowski chwycił się za głowę, darł włosy.

— Kiedy to zrobili! — W nocy? Psiakrew!... — zgrzytał...

— Gdzie kierownik Lembitz? — zapytałem.

— Leży poturbowany. Spadł z nasyppu koło stolarza Firkowskiego w czasie utarczki Niemców z Kozakami.

— Proszę zawiadomić wszystkich nauczycieli, zaraz, że jeszcze dzisiaj zbierzemy się wokoło nauczycielskim przed zachodem słońca. Osobnie zawiadomić organizującą się Milicję Obywatelską, by rozstawiła warty przy szkole.

Zebrań nie odbyło się. Witaliśmy kolumny radzieckich czołgów. Nadmiar radości i dzika, wprost żywiołowa uciecha nie pozwalają skłedić dalszych zdań.

BOLESŁAW WOJEWÓDKI

MARIAN PIECHAL

# PROLOG

1  
Pod znakiem wojen  
i rewolucji  
wiek nowy wschodzil  
pierwszy jej wystrzal  
zapowiedz dalszych  
rozlegl sie w Lodzi

2  
Tu mój początek  
tu płuc i serca  
ruch najwcześniejszy  
tu krzyk z kolebki  
i jak wystrzału  
pogłos wiersz pierwszy

3  
Tu mnie marsz głodnych  
rwany salwami  
sensu słów uczył  
w nim mej poezji  
źródło i do niej  
jeden z jej kluczy

4  
Tu w owym Roku  
Pamiętnym ojciec

był jedną z isker  
która nie zgasła  
aż na wygnaniu  
w tajdze sybirskiej

5  
Tu się zbiegały  
pasmami przędzy  
wątki dziejowe  
i tu mnie wplotły  
nitkę liryczną  
w swoją osnowę

6  
Tu władztwo dymu  
komin fabryczny  
nad życiem rozpiął  
tu mej młodości  
i lat mych męskich  
ogień i popiół

7  
Tu pamięć ziarnem  
wsomnieni posiana  
mierzwą krzywd żyzna  
tu grób mej matki  
proch co mnie zrodził  
moja matczyzna



Marian Piechal

8  
Tu tkwił lat dziesięć  
ojciec mój w trzasku  
krosien a matka  
w jazgocie wrzecion  
dzień w dzień co liczył  
godzin dwanaście  
póki ich życia  
zły los nie przeciął

9  
Wrzeciono wije  
nitkę z przedziwa  
pędem wirowym  
w pościgu z czasem  
tu się ocenia  
wartość człowieka  
kilometrami  
wysnutych pasem

10  
Czołenko splota  
wątek z osnową  
rytmicznie bidłem  
zderzane za nim  
tu się ocenia  
wartość człowieka  
kilometrami  
zwijanych tkanin

11  
Widzę Twe Matko  
włosy brwi rzęsy  
w bawelnianego  
kurzu zamieci  
i wieczne światło  
Twojego uśmiechu  
zawsze mi w mrokach  
chwil ciężkich świeci

# Śródmieście

# ULICA KILIŃSKIEGO

1  
Miasto wiążysko  
tysiąca ulic  
druku stóp ludzkich  
wierna matryca  
z tych ulic jedna  
dawna Widzewska  
w mej księdze życia  
pierwsza stronica

2  
Na tej ulicy  
pod 203-im  
lba nie urwałem  
hydrze w kolebce  
ale mi dotąd  
ten dom jak źródło  
wciąż żywym pulsem  
porusza serce

3  
Wiele tu fabryk  
niewo pałaców  
parkany mury  
ścieki tęczy mętne  
drewniaków mnóstwo  
mało kamienie  
i jedna cerkiew  
niewoli stempel

4  
Przy tej ulicy  
i jej przecznicach  
zbrudzonych lepkiem

węglowym firmem  
Scheibler i Grohman  
rozpołożyli  
wspólne imperium  
swoje tekstylne

5  
Przez to imperium  
w cieniu kominów  
między stawami  
toczył się Jasień  
i szeptem-szumem  
nadrzeźnych topól  
odmawiał co dzień  
modlitwy ptasie

6  
Tu traf przydzielał  
w kieracie pracy  
miejsca tuhylem  
nieznanym z liczby  
czas ich odmierzal  
prócz świat i niedziel  
trzy razy dziennie  
gwizdek fabryczny

7  
Tu nawet słońce  
dnia oko gasło  
spowite brudną  
dymów bawelną  
a nocą nieba  
czystą żrenicę  
szpeciło mgliste  
księżycza bielmo

1  
Kto ciebie Łodzi  
z jakich podszeptów  
piekła i komu  
na złość wymyślił  
i ten twój dziki  
nierówny w szansach  
nędzy z bogactwem  
morderczy wyścig

2  
Ulice w kratkę  
jak sieć pajęcza  
w niej mroczny demiurg  
nad miastem zwisał  
niejedne grzęzły  
w niej ludzkie roje  
niejeden pajak  
krew z nich wysysał

3  
Tu była w kraju  
cudza kolonia  
prawdziwy zloty

internacjonal  
na pniu rodzimym  
obecnie nam pędy  
tył syty na tym  
co z głodu konał

4  
Tu nawet postępek  
ciągnik historii  
depcząc po ludziach  
żelazną stopą  
wyciskał z potu  
i krwi swych ofiar  
publiczne sadze  
prywatne złoto

5  
Miasto troiste  
w kolejnych wizjach  
plomba niewoli  
na chorym zębie  
bielmo na oku  
niepodległości  
złota proteza  
w bezzębnej gębie

6  
Piotrkowska główna  
aorta miasta  
z żebrami przecnie  
stos pacierzowy  
sam rdzeń śródmieścia  
wiążący z sobą  
całego miasta  
układ nerwowy

7  
Banki kantory  
sklepy z wystrojem  
fasady zdobne  
w cyces secesji  
arywistycznie  
zachachmęczonej  
jak właścicieli  
ich interesy

8  
Do spekulanta  
łapeczywej dłoni  
jak do świętego  
z Assyżu wróble  
z całego świata  
się zlatywały  
funty dolary  
franki i ruble

9  
Tu się narodził  
typ lodzermenscha  
weksel prowizja  
glanc i pomada  
oczy dwa zera  
na cyferblacie  
szyto i kryto  
muchy nie siada

10  
Z Nowego Rynku  
puchacz ratusza  
gdy w ciszy nocnej  
biła dwunasta  
lypał świetlistym  
okiem zegara  
w najbardziej mroczne  
zaułki miasta

11  
W dusznych melinach  
tingle i tangle  
w alkoholowych  
klombach zapachów  
gieldy grynderów  
dintoirv gangów  
triangle urningów  
kurkiew i gachów

# PERYFERIA

1  
Pokraczne kuse  
domów ułamki  
splesniałe ściany  
obite papą  
krzak bzu przy plumpie  
koza na sznurku  
zlew królik w klatce  
gołąb na dachu

2  
Widok garbatych  
ruder szyb zbitych  
plotów szcerbatych  
smucil i nudzil  
więcej tu ścieków  
śmieci kup błota  
szurzych dziur kotów  
i wron niż ludzi

3  
Rzadko tu trafiał  
szklarz szlifierz noży  
lutownik garnków  
handeles z krukwią  
czasem kramarskie  
budy lub wozy  
cyrkowe w błocie  
ugręzłe tu tkwią

4  
Człowiek przedmieścia  
cały z barchan  
w połowie ze wsi  
w połowie z miasta  
z trudem nad okap  
własnej famułki  
swą drelichową  
myślą wyrastał

5  
Bóg z Belzebubem  
grali nim w ping-pong  
w niebie czy w piekle  
znaczył niewiele  
dla kompensaty  
często i gęsto  
spijał się w knajpie  
trzeźwiał w kościele

6  
W święta na Młynku  
lub w Mani Lesie  
zajzajer z wursztem

z przytupem fajno  
tam Antek z Bałut  
z Franką z Sikaw  
z odbitą flachą  
z całą ferajną

7  
Helenów z grotą  
corso labędzie  
park Stefańskiego  
w Rudzie staw wielki  
tu lepsze sfery  
fanty fajerwerk  
księżyc laubzegą  
wycięty z mgielki

8  
Wróżka wędrowna  
podmiejskich niedziel  
rozpraszająca  
unylą chandré  
krasna Cyganka  
cała w cekinach  
jak w jaskrych iskrach  
romni bacht jandel

9  
Na skraju przedmieść  
smocze cegielnie  
woda w gliniankach  
pod rzęsą śnięta  
na dnie jej koty  
psy żabie requia  
i zrutki grzechów  
ludzkie bastrzęta

10  
Miasto jak morze  
na brzeg wyrzuca  
różny chwast z głębi  
swych ciemnych cieśni  
w zaułkach przedmieść  
kryły się często  
insekty ludzkie  
jak pchły w psiej sierści

11  
Tu gdzie dziś bloki  
na Petersburskiej  
niejeden obeituch  
krył się wśród zboża  
obok na Płockiej  
spór rozstrzygnali  
pamiętam mistrze  
spłuwcy i noża

Z HISTORIOGRAFII BIAŁORUSKIEJ

O literaturze białoruskiej polski czytelnik wie dzisiaj niemało: zasługa to rozwiniętych form kontaktów środowisk literackich Polski i Białorusi radzieckiej, wymiany książek i czasopism, rozsądnie prowadzonej polityki przekładów. Nie potrzeba przypominać, jak znaczny udział w przyswojeniu polskim czytelnikom współczesnej twórczości białoruskiej mają pisarze, działający w naszym mieście. Jeżeli tak dobrze znamy literaturę, czemuż tak mało znamy twórczość historyków białoruskich? Nie jest ona dla nas nieinteresująca: dzieje naszych obu narodów są tak z sobą splecione, że historia Białorusi siłą rzeczy musi zwracać się do historii Polaków. A przecież zbyt rzadko spotykamy się z białoruskimi książkami historycznymi, zbyt rzadko omawiane są w naszym periodyku, zbyt rzadko proponujemy wydawcom do przekładu. Nie powinniśmy spotykać się z białoruskimi dorobkami historyograficznymi od przypadku do przypadku i trzeba będzie pomyśleć nad tym, jak ten stan polepszyć.

O tym, że radziecka białoruska nauka historyczna posiada w swym dorobku prace, mogące z pewnością zainteresować również polskiego czytelnika, świadczy książka, która mam przed sobą. Jest to niewielka praca Susanny Michajlowny Samburg, zatytułowana: „Społeczno-polityczna myśl Białorusi w drugiej połowie XIX wieku”, opublikowana po rosyjsku przez Instytut Historii Akademii Nauk BSR w Mińsku w 1976 r. Dzieło to zostało nad wyraz starannie wydane przez mińską oficynę „Nauka i Technika”; podkreślam to zwłaszcza dla porównania z niektórymi naszymi publikacjami, ukazującymi się — jak np. niedawno wydana książka o Barbarze Radziwiłłównie — również w oprawie, ale za to na papierze raczej toaletowym niż drukarskim.

Podstawą źródłową książki S. M. Samburg jest praca wydawana na Białorusi w drugiej połowie XIX w.; poza zasięgiem badań pozostała jedynie prasa kościelna, z założenia nie mająca prawa „dotykać jakiegokolwiek spraw świeckich”. Autorka wykorzystala również nieco źródeł rękopiśmiennych z zbiorów archiwalnych i bibliotecznych. Interesowała ją — jak píše — „legalna i nielegalna prasa drugiej połowy XIX w. jako świadectwo poglądów i praktycznej działalności określonych klas i grup społecznych ludności Białorusi”. S. M. Samburg zaproponowała uzasadniony układ zebranego przez siebie materiału: omawia ona myśl społeczno-polityczną odzwierciedlającą się na lamach prasy podług trzech jej głównych kierunków: szlachecko — monarchicznego, liberalno-burżuazyjnego i rewolucyjno-demokratycznego. Uważa bowiem, że „prasa periodyczna Białorusi odzwierciedlała walkę ideowo-polityczną trzech głównych sił drugiej połowy XIX stulecia — konserwatywnej szlachty liberalnej burżuazji i demokracji”, a walka między nimi wyrażała zasadnicze sprzeczności społeczne kraju w okresie po reformie uwłaszczeniowej. Zaprzatowania środowisk rewolucyjno-demokratycznych znalazły swój wyraz jedynie w prasie nielegalnej, w szczególności w periodyku „Gomon”, wydawanym przez Białoruską grupę socjalno-rewolucyjną od początku 1884 r. Pismo to — jak píše autorka — wydawane na hektografie „nie było dokumentem programowym w ścisłym tego słowa znaczeniu”, a raczej było pomyslane jako periodyczny organ „przyszłej organizacji”.

Nie jest przypadkiem, że najwięcej nowego udało się powiedzieć w tych częściach pracy, które dotyczą nurtu rewolucyjno-demokratycznego i liberalno-burżuazyjnego, obu — choć z diametralnie różnych pozycji — wyrażających opozycję w stosunku do polityki „prawosławia i samodzierżawia”. Demokracja białoruska miała — jak wykazuje to S. M. Samburg — charakter narodniczy i podzielała większość zaprzatwań tego ruchu. Odnosi się to również do związków Narodowej Woli z polskim „Proletariatem” — grupa „Gomon” z zadaniem przyjęła wiadomość o porozumieniu się obu partii dla walki z samodzierżawiem. Jednocześnie otrzymaliśmy wiadomość o utworzeniu w 1883 r. przez J. Plechanowa za granicą grupy „Oswobodzenie pracy” i rozpoczęciu wydawania „Biblioteki współczesnego socjalizmu”, redakcją białoruskiego pisma powitała to z uznaniem, wyrażając rosyjskich rewolucjonistów do okazania tym inicjatywom poparcia i pomocy. Szczególnie interesująco przedstawiały się — w świetle wywodów S. M. Samburg — zaprzatowania „gomonowców” na problem narodowy: stali oni konsekwentnie na stanowisku prawa każdego narodu do samookreślenia przeciwstawiając się wszelkim formom nacjonalizmu. „Gomonowcy” — píše autorka — uważali za możliwe zlikwidowanie ucisku społeczno-narodowego jedynie na drodze rewolucyjnej. Występowali oni przeciwko wszystkim pozostałym systemom państwowym w gospodarce i polityce i wyrażali interesy wielomilionowych mas chłopskich.

Blaski i cienie różnych społeczno-politycznych orientacji, zawody i sukcesy ludzi najroźniejszych światopoglądów — oto pasjonująca problematyka, której poświęciła swa książkę S. M. Samburg. Książkę wartościową i interesującą, przynoszącą wiele nowego o sprawach, o których tak wiele już wiemy z naszej własnej polskiej historii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

W Algeciras niewielkim porcie śródziemnomorskim stanęliśmy przed południem. Autokar mknął nadmorską trasą jak na skrzydłach, cały czas czwartym biegiem. Trzeba się było spieszyć. Za godzinę odbija z Algeciras pasażerski statek. Przetnie gibraltarską cieśninę i wyląduje w Ceucie. Już na afrykańskim lądzie. Przed statkiem kolejka. Stumetrowej długości. Posuwa się wolno. Z ociąganiem. Ciężba nieprawdopodobna. Zdawać się mogło, że pół Hiszpanii dało to sobie rendez-vous, aby w niedzielne południe przepchnąć się co rychlej cieśniną do Afryki. Przede mną tkwi w kolejce Aldonka. Za nią drepeze młody architekt. Z tyłu mały felcer z dużym brzuskiem. Tłok niesamowity. W kolejce kipiało i wrzało. Czyżby jeszcze jedna hiszpańska pielgrzymka do jeszcze jednej hiszpańskiej Madonny?

Aldonka wydeła wargi.  
— Niby jesteś oblatany a nie wiesz co w Ceucie mają.

Felcer cicho się roześmiał. Tłum naparł silnie. Szuki pororywał. Na pewien czas straciłem Aldonkę z oczu. Trap i wreszcie pokład. Od razu runął na mnie huragan hiszpańszczyzny. Dźwięczny język, męski i zdecydowany. Nadaje się wybornie do wydawania rozkazów. Mógłby być przyjemniejszy dla ucha niż nawet włoski. Za dużo w nim jednak semicko-chrypiącego „h”. Wokół sami Hiszpanie. Pokrętni, czarnobrewi, przysadzisci jak francuscy policjanci. Przez kolumnę niskich mężczyzn przebieł się na rufę.

Z rufy był piękny widok. Oko biegało po lekko sfalowanym morzu. Zatrzymało się na „Rock”, na skale, jak Angliści powiadają o Gibraltarze. Wysoka góra o trzech garbach, która wyskakuje wprost z morza. Nagle zboczyła. Nic na nich dostrzec się nie dało, choć jest najczoną najczonszą artylerią. Pustka zupełnie, choć gdzieś tam w granitowych bunkrach pochowano rakietowe wyrzutnie. Gdzieś tam na prawym zboczniu musiało być lotnisko. Stąd wystartował generał Sikorski. Samolot wybił się w powietrze. Na krótko. Przypadek? Tragiczny zbieg okoliczności? Przypuszczenia. Intuicja podpowiada, słuchaj mój drogi, w wielkiej polityce przypadków nie ma. Pokazuje się felcer o długich niezmiernie baczkach sycylijskiego mafioso.

— Nie widziałeś Aldonki? — pyta. Felcer, to zawodowy turysta. Bawi się z zapalem w zagraniczne wojaże. Te zachodnie. Ma na to. Ma też na więcej. Jeździ po świecie nie dla przyjemności, tylko jeździ dla interesów. Ma kumpki. To jasne. Kumpki mu wszystko załatwia. A jak trzeba wyciągną z tarapatów za uszy. Dziwne, że przy swojej otępiłości felcer niezwykle jest sprawny i ruchliwy. Widzi wszystko. Jego maleńkie oczka chodzą wkóło jak na sprężynach. Bystry facet. O głośkim umyśle. Zawsze na jednej nodze. I ma wieczny uśmiech przylepiony do twarzy. To prawdziwy skarb taka maska z uśmiechem. Zwłaszcza gdy się jest felcerem. Był dla mnie lepki. Jego miękkie oślisłe łapy budziły obrzydzenie.

Poprzedniego dnia w San Fernando felcer nie krył zawodu i minę miał raczej kwaśną.  
— Tu nie nie ma — oświadczył.  
— Jakże, to typowe hiszpańskie miasteczko, nie skażone turystyczną fałszką, która zatrzymuje się w Kadyksie.  
— Gadanie — machnął ręką — Wszystkie sklepy są tu zawalone wachlarzami. Zwarowali czy co? Co ja mam robić z tyłoma wachlarzami? Wszystkie chórzystki z Opery mógłbym odbarować i cały balet Łódzkiej Operetki.

Kadyks jest eudowny. To miasto jest bajeczne. W czasach gdy hiszpańscy królowie zarządzali z klasztornych komnat Escorialu połowę tego świata. Kadyks wyrósł na atlantycką stolicę. Z wysokości swych granitowych obwarowań miasto spoglądało poprzez Atlantyk na Amerykę. To z Kadyksu odbijały żaglowce, szły na Zachód, wracały wylądowane złotem, srebrem i ciężkim jak olów hebanem. Cały Kadyks jest wielkim i wspaniałym monumentem wyciosanym z kamienia z ogromnym architektonicznym kunsztem. Tak wąskich i krętych uliczek nigdzie przedtem nie widziałem. Może w Tours? Może w Muenster przed zombardowaniem? Ale tam są tylko pojedyncze choć bezcenne zaułki. Tu, w Kadyksie stoją nienaruszone całe dzielnice. Stoją jak je stworzono w twórczym natchnieniu w tych zamierzchłych już czasach. Domy jak pałace. Korytarze w fajansowych mozaikach. Pafia obwieszona kwiecieniem. Ściany w marmurze. Drzwi w brzoju. Wielka panorama wielkiej sztuki. Tu mieszkali odważni, do szaleństwa żeglarze. Stąd wyruszał pełni pogardy dla spokojnego życia piraci i awanturnicy. Wspomnienia po nich mają trwałość legendy. Kadyks poruszył mnie do głębi.

Przy ochronnych wałach nad samym Atlantykem pokazał się młody architekt z Aldonką.

— Popatrz na te cyklopedyczne mury — wyrzekł młody architekt w zadumie. — Sam się zastanawiam jak oni to robili. Z tych murów tutejsi kupcy nasłuchiwali odosów bitwy morskiej pod Trafalgarom. Tam ważyły się losy Kadyksu. Kupcy drżeli, mieli o co, bałi się o swe kpięćkie skarby.

— Na miłość boską, dać spokój tym kamieniom. Nie cię nie podkreca tylko te różne mudejary, platerski i renaissance?

— Przepraszam, myślałem, że cię to zainteresuje.

— Byłby czas, żebyś się ucztowiczyl. A tak naprawdę, ile masz lat? No, mniejsza z tym, powiedz mi lepiej czy

JAN BĄBIŃSKI

Aldonka w Afryce



Rys. Janusz Szymański-Glane

jutro w Ceucie wszystkie sklepy będą otwarte.

Na mój widok Aldonka wykrzyknęła.

— Jak to dobrze. Zrobisz nam zdjęcie — I wcisnęła mi „Zenita” do ręki.

Robię zdjęcie, Aldonki z młodym architektem. Tłum się palmy, cyprysy i figowce nieprawdopodobnie szerokości. Nigdy bym nie przypuszczał, że figowce mogą powyrastać na takie olbrzymy. Aldonka jest czarna. Może dlatego wcale Hiszpanom do głowy nie uderza. Oni tu wolą blondynki. Aldonka ma niesłychanie jasną karnację. Przy swych kruczo-czarnych włosach i tej białej ośniewającej cerze mogłaby w Anglii uchodzić za godną uwielbienia lady z Kensington Gardens. Ten typ urody jest na Wyspach Brytyjskich ceniony najbardziej. Znawcy innego są zdania. Znawcy twierdzą, że piękna dziewczyna powinna być Angielką do szyi, Francuzką od szyi do wcięcia, a niżej to już powinna być Holenderką.

Według mnie nie Aldonka nie brakuje. Jest zadana. Czyściutka. Ma tyle w sobie powabu, że nie tylko młody architekt stracił dla niej głowę. We wszystkim co na siebie zarzuca, a są to rzeczy zdumiewające w swej prostocie, wygląda jakby wyszła wprost od Diora. Laleczka. Ma ten sztyk bo ma. Żeby ma białe. Oczy zielone. Jej długie nerwowe nogi stają się zwinnie i lekko. Tak się maluje, że wcale się tego nie widzi, że jest umalowana. I nie sobie z tego nie robi, że przyciąga wzrok mężczyzny. Jest młoda. Ma przed sobą całą masę okazji. Czy się nie zamaruje? Takie dziewczęta często bywają znużone, częściej zawiedzione, a za mąż wychodzą najgorzej. Sympatyczna jest Aldonka. Pęta się przy niej

młody architekt. Ma jednak smutek w oczach. Dziewczeta nie lubią smutnych mężczyzn. Już wolą kogoś kto je umie rozśmieszyć. Smutni mężczyźni nawet miłość uprawiają na smutno. Całe szczęście, że młody architekt nie pali fajki. Gdyby palił, to Aldonka by o rzekła, że jest beznadziejnym pozerem. Statek płynie coraz szybciej.

Wciąż spoglądam na skalę, na Gibraltar. Toż to istne kowadło, które ciosów to już nie lęka się na pewno. Czy Gibraltar kiedykolwiek padnie? Czy runie ten ostatni filar przebrzmiałej już przecież imperialnej potęgi brytyjskiego lwa? Nic nie ma wiecznego. Nie ma takiej twierdzy, która by była nie do wzięcia.

Z początkiem VIII wieku tę właśnie gibraltarską cieśninę przecięło 300 Arabów i 7000 Berberów i Syryjczyków. Potem doszły jeszcze niewielkie berberyjskie posiłki. Starczyło by Arabo-

Kongo, Togo, Komerunie, proszę pozwolić, że zostanie przy starych nazwach, zrobiłem tam trochę forsy i teraz mieszkam w Terremolinos. Mam dom, mam ogród, mam mnóstwo rzeczy z kości słoniowej. Wpadnie pan?

Costa del Sol... Kraina rzeźkiego powietrza, kraina cytryn i pomarańczy. Przez 300 dni w roku jest tu słońce. Średnie roczne temperatury nie schodzą poniżej 15 stopni...

Teraz Ceuta przede mną. Już na afrykańskim lądzie. O dziwo, jest chłodno. Wieje zimny wiatr. Nadlatuje z Maroka, ciągnie z wysokich i niedostępnych gór Rifu. Zupełnie inacej Ceutę sobie wyobrażałem. Miasto położone na kamienistych nadmorskich wzgórzach jest europejskie. Domy jak w Andaluzji Białe o łuskowatych dachach. Kościoły barokowe. Z okien zwisają misternie kute w żelazie balkony. Ceuta to skrawek Hiszpanii na afrykańskiej ziemi. Po palmowo-cieniistych ulicach tego portu przechadza się duch Europy. Wyżej, na wzgórzach, sucha ziemia, na której ściera się dziki jakiejś porosty. Pomyśleć, że z tego właśnie punktu arabscy wojownicy, ogarnięci religijnym żarem i żądzą kobiet o białej karnacji, wyruszyli ongiś na podbój chrześcijańskiej Europy.

— Co za pech — powiada Aldonka — tyle sklepów i wszystkie pozamykane.

— Zejdźmy do portu — proponuje młody architekt. — Popatrzymy na okręty i twierdzą na wzgórzach.

Aldonka ma zwrócony humor przy obiedzie, choć słońce zaczęło świecić mocniej i dzień stał się pogodny. Słyszała że gdzieś jak gdzieś ale w Ceucie to już kupuje się za bezcen. Jaka szkoda, że to niedziela. Istotnie Ceuta to jeden wielki bazar. Sklep przylega do sklepu. A towar jest przedmi. Gdzie indziej już nieosiągalny. Wszystkie te skóry, te wyroby ze złota, srebra, te zegary i zastawy, to szczyty rzemieślniczej kunsztu. Rzemiosło tu jeszcze kwitnie. Zadziwia w sklepach ogromna ilość chińskiej porcelany, stylizowanej w egzotyczną roślinność i dziwaczne zawijasy i te kły słoniowe. Metrowej długości. Porzeźbione w pagody, ogródki, rajskie ptaki i pobliskujące w słońcu drzewka. Skąd tyle porcelany, tyle kości słoniowej i to po tak niskiej cenie? Czyżby przemysł z Hong-Kongu?

Spotkałem Aldonkę całą spoconą na okrętowym trapie. Biegła, żeby się nie spóźnić.

— Wiesz co, byłem w marokańskiej dzielnicy, tam na wzgórzach koło twierdzy. Co za nędza, co za nieprawdopodobne. Kupiłeś co?

— Za co?

Aldonka roześmiała się.  
— Słuchaj, jestem prawie gotowa ci uwierzyć.

— Mam wyrzucić pieniądze?

— Centuś, nie lubię centusiów. Zawsze współczulam kobietom, których mężowie są centusiami.

I znów płynęliśmy z Ceuty do Algeciras przez gibraltarską cieśninę pod rozwieżdzonym niebem Południa. Wiało lodowatym chłodem. Gwiazdy Wielkiego Wozu świeciły jasno i ostro. Chodziliśmy po niebie to tu, to tam zupełnie jakby kto przesuwiał w górze latarnie. Widocznie statek kolował Wymiajął rąfy i mielizny. I ognie Gibraltaru świeciły. Groźne matowe światła, pobliskujące ukrytą w skałach śmiercią. Chłód się wzmagal. Zsunąłem się w dół, pod pokład, żeby się rozgrzać. W przejściach mrowiło się od mężczyzn obladowanych tobołami. Każdy coś wiozł. Radia, aparaty telewizyjne, japońskie komputery, parasolki i japońskie zegarki kwarcowe. Pokazało się, że dla Hiszpana wszystkie te towary są w Ceucie kilkakrotnie tańsze niż w Madrycie. Jednak była kontrola. W morskim dworcu Algeciras Hiszpan brał ostro Hiszpana za kolnierza. Pokaż no, kochaszu, co tam trzymasz w worku. Cło trzeba płacić, syneczku. Ile? Zaraz wyleciemy.

Polacy wracali na ląd spokojnie i z wielką godnością. Nie kupili w Ceucie prawie niczego. Tylko felcer wracał z pełną torbą. Aldonka spojrzala na niego i aż przystanęła z wrażenia.

— Toś nie wiedział? — dziwił się felcer patrząc na mnie spod oka. — Przecież do hinduskich składów wchodził się w niedzielę od tyłu. Sezamie otwórz się, ha, ha, zupełnie jak w arabskich bajkach, trzeba tylko znać zaklęcie, mój drogi.

Felcer promienił. Jego twarz o obwisłych policzkach jaśniała zadowoleniem.

Nazajutrz, przy śniadaniu w Terremolinos, Aldonka wzięła się przy stole. Na obiad przesiadła się do felcera. Odtąd już do końca wycieczki nie odstępowała felcera na krok. Młody architekt siedział przy posiłkach nieruchomo i patrzył ponuro w przestrzeń. Miał zawsze smutek intelektualisty w oczach. Teraz posmutniał jeszcze bardziej. A gdy był taki smutny to wyglądał jak oklajnięty stary kapeć. Zrobiło mi się go żal. Będzie dłużej w miastach. Będzie źle spał i pocił się po nocach. Swoją kielich gorczy wychylił do dna. Był się tylko nie spał. Nie cierpieć mężczyzny, który płaczą. Człowieku, głowa do góry. Żeby tworzyć trzeba cierpieć. Niezwykła architektura Hiszpanii może cię natchnąć do twórczego wznoszenia. Cierpienie ten wzlot uskrzydli. Hm, może młody architekt podjękuje z czasem losom, że Aldonka patrząc na niego, widziała powietrze?

## WESTERNY

Najpierw straszono, że telewizja uśmierci film. Okazało się to nieprawdą. Potem nastąpił — dzięki telewizji właśnie — rozwój filmu dokumentalnego, felietonu filmowego i reportażu filmowego. I wreszcie dzięki telewizji wielomilionowa widownia może oglądać całe zblokowane przeglądy filmowej klasyki.

W minionych tygodniach mieliśmy możliwość obejrzenia najlepszych dzieł z filmowej historii westernu. Oglądaliśmy zatem słynne „Miasto bezprawia”, które sprowadzone do Polski w latach pięćdziesiątych wywołało w pewnych kręgach takie zgorzelenie jak „Coca Cola” długie włosy i skarpetki w paski. Starsi, pamiętający ową zgniliznę tamtych lat oglądali western z rozróżnieniem i zadumą nad przemijalnością pochopnych ocen; młodzi chyba bez większego wrażenia.

„Miasto bezprawia” zasługuje na miano filmu historycznego. Jego bohater, szeryf Wyatt Earp, żył naprawdę i uchodził za jednego z najdzielniejszych szeryfów na amerykańskim Zachodzie. Kiedy w wytwórniach „Bison 101” i „Universal” rozpoczynano masową produkcję westernów Earp żył jeszcze (zmarł w 1929 roku) i mieszkał w Los Angeles. Na planie filmowym był czymś w rodzaju konsultanta — korygując różne nieścisłości w realiach Dzikiego Zachodu.

Wyatt Earp był znakomitym gawędziarzem i wiele pomysłów scenariuszowych w późniejszych westernach ma zapewne źródło w opowieściach starego szeryfa. Właśnie John Ford, osłuchany z historiami Earpa, uwiecznił go w swoim klasycznym „Miście bezprawia”. Wyidealizowanego szeryfa odtwarzał w filmie Henry Fonda.

Wyidealizowanego, bowiem sam Earp był w młodości bandytą i płatnym mordercą. Faktem jest jednak, że zaprowadził porządek w wielu miastach Dzikiego Zachodu. Największy rozgłos zyskała jego rozprawa z bandytami w mieście Tombstone, znana jako „strzelanina w zagrodzie”. Scena ta znalazła się w wielu westernach — widzieliśmy ją również w „Miście bezprawia”.

Dużo zabawy dostarczyła nam angielska burleska „Cowboy, do dzieła!”, będąca czystą parodią i klasycznym pastiszem, którego walory wzrastają dla widza proporcjonalnie do obycia z westernem. Obycie także jest udziałem polskiego widza, bo nawet mój ośmiolatek, oglądając finał „Cowboya”, momentalnie przypomniał sobie parodiowany oryginał, czyli finał klasycznego obrazu „W samo południe”.

Takich odniesień było w angielskiej parodii więcej. Już sama nazwa filmowej miejscowości Stodge City jest parafrazą legendarnego Dodge City, gdzie toczy się akcja niezliczonej ilości westernów. Również bohater parodii, Rumpo Kid, kojarzy się oczywiście z Ringo Kidem ze słynnego „Dyżansu”. Przydomek „Kid” odpowiada polskiemu „chłopaczekowi” — bohater „Cowboya” jest oczywiście mocno podziatusławy, co stanowi dodatkowy element humorystyczny.

Film — jak każda parodia — wykorzystuje znane schematy, doprowadzając je oczywiście do absurdu. Jak twierdzi Czesław Michalski w swojej książce „Western i jego bohaterowie”, film ten stanowi najlepszą parodię westernu, jaka kiedykolwiek pojawiła się na ekranach. Osobliwie twierdzi, że „Cowboyowi” dorównuje z pewnością czeskosłowacka parodia „Lemoniadowy Joe” film oglądany w Polsce zarówno w kinach, jak i na szklanym ekranie.

„Lemoniadowy Joe” nie jest tylko czystą zabawą w przedrzeźnianie westernowych schematów, posiada swoją głębszą wymowę i dodatkowe podteksty. Podobnie zresztą jak sam gatunek westernu. I pewno dlatego western jest gatunkiem wciąż żywym i wciąż budzącym zainteresowanie.

TELEMAN

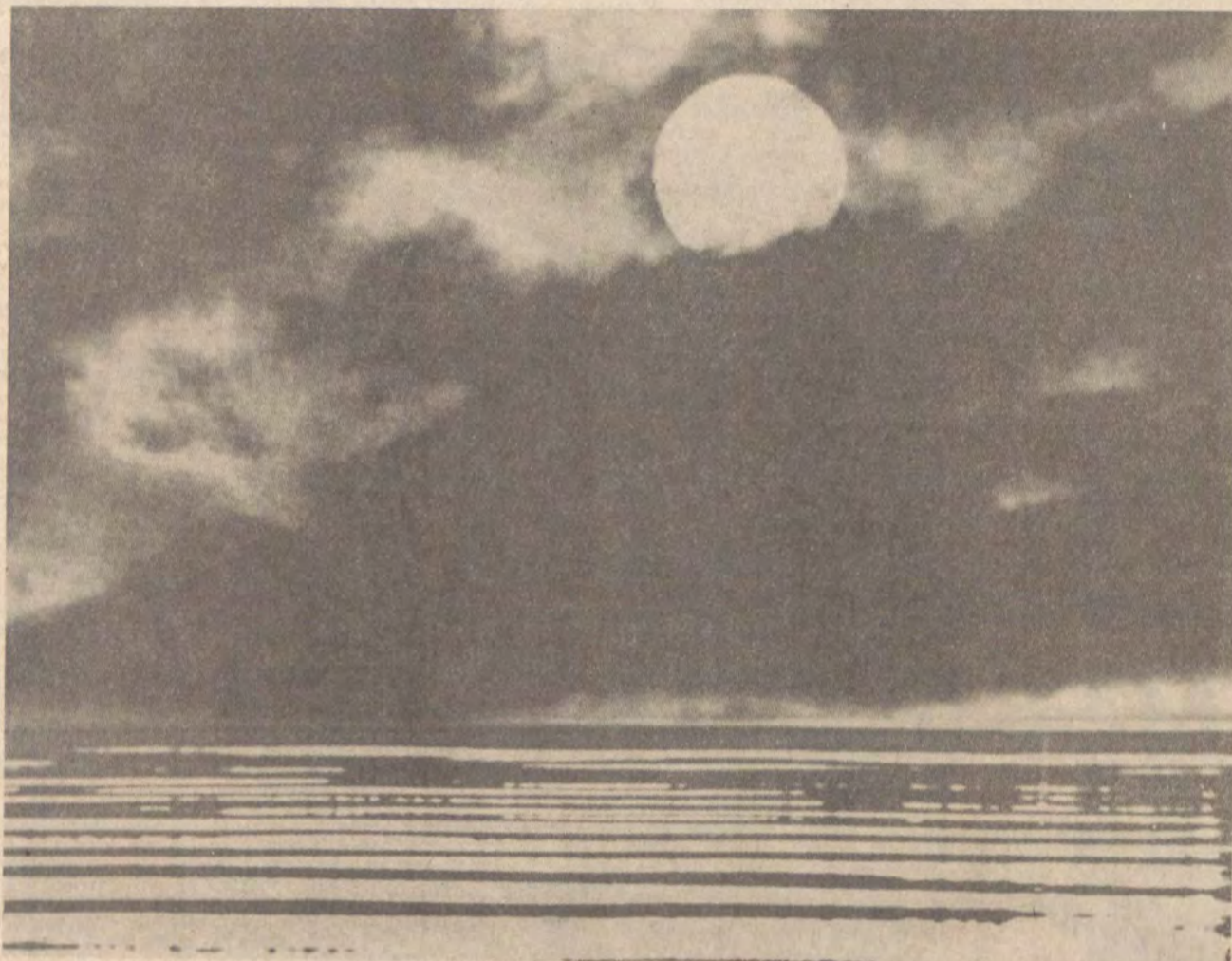


Foto: Archiwum

# PALEC NA PULSIE PLANETY

Dalszy ciąg ze str. 1

Przy badaniu tego rodzaju szybko przemijających zjawisk wszystko zależy od szybkości poinformowania o ich zaobserwowaniu. To właśnie stało się przyczyną utworzenia „Centrum badania zjawisk krótkotrwałych”, którego zadaniem jest niemal natychmiastowe przekazywanie informacji o owych fenomenach zainteresowanym naukowcom i instytutom badawczym. Jednym z nich jest na przykład waszyngtońska „Smithsonian Institution”, słynne w całym świecie muzeum i kompleks naukowo-badawczy. Wspomniane „centrum”, zlokalizowane przy Smithsonian Astrophysical Observatory w Cambridge (stan Massachusetts) nie tylko dostarcza naukowcom ze wszystkich części świata cennych danych badawczych, lecz służy również jako swego rodzaju system „wczesnego ostrzeżenia” przed takimi klęskami żywiołowymi jak trzęsienia ziemi, inwazje insektów itd.

Ciekawe, iż samo „centrum” nie zatrudnia żadnego badacza-naukowca. Składa się ono właściwie tylko z jednego biura, w którym pracuje sześciu urzędników. Działalność jego wspiera się jednakże na znacznej liczbie tzw. korespondentów, wśród których znajduje się ponad 2800 naukowców i instytucji ze 185 krajów. Do ich zadań należy m. in. informowanie „centrum” o zjawiskach zaobserwowanych w okolicy i pomaganie ekspedycjom naukowców, wysyłanych tam w celu przeprowadzenia niezbędnych badań. Dzięki temu „centrum” od momentu swego powstania w 1965 roku uzyskało informacje o około tysiącu różnych dziwnych zjawiskach i opublikowało ok. 2200 raportów z takich dziedzin jak: geologia, astronomia, biologia i antropologia. Rozpiętość tematyczna była również znaczna — od wybuchów wulkanicznych i trzęsień ziemi do „zabich wojen”, inwazji myszy bądź pajaków. Przeciwnie w ciągu tygodnia „centrum” jest powiadamiane o trzech do ośmiu niezwykłych zjawiskach, przy czym wszystkie dane są niemal natychmiast drogą telefoniczną, telegraficzną bądź poprzez dalekopisy, przekazywane do naukowców współpracujących z „centrum” w danej dziedzinie. W ten sposób w ciągu niewiele godzin sieć informacyjna obserwatorium w

Cambridge przesyła dość dokładne wiadomości o dokonanych obserwacjach właściwie niemal do każdego miejsca na kuli ziemskiej.

Szybkość dostarczania informacji jest czynnikiem decydującym — podkreśla Bob Citron, dyrektor „centrum”. — Każdy meteoroid, który dopiero co spadł na Ziemię, przedstawia dla astrofizyków prawie bezcenną wartość; lecz gdy tylko poleży nieodkryty przez pięć do sześciu dni, nadaje się jedynie na eksponat muzealny, bowiem w laboratorium jest już praktycznie bezwartościowy. Wśród naturalnych zjawisk przyrody najczęściej występują zjawiska krótkotrwałe. To też nie może dać geologowi więcej wskazówek o przebiegu procesów zachodzących we wnętrzu naszej planety niż trzęsienie ziemi bądź wulkaniczny wybuch — o ile obecnie będą przy tym eksperci i dokonają niezbędnych obserwacji.

Szczególnie istotną jest rola szybkości wówczas, gdy zjawisko kończy się katastrofą. Tak na przykład w 1970 roku w Maroku uprawy zbóż zostały poważnie zniszczone przez tzw. hiszpańskie wróble, z kolei w Tunezji plaga szkodników polnych padły znaczne połacie pól ziemniaczanych, przy czym pasażerzy te należały do gatunku nie spotykanego tam dotychczas. W Tanzanii co roku pewien rodzaj gąsienic niemal doszczętnie pustoszy ogromne połacie pól uprawnych. Przyczyną tego był między innymi fakt, iż chłopcy nie potrafili prawidłowo zidentyfikować szkodników, podczas gdy najsukuczniejszą metodą walki z nimi byłoby po prostu odpowiednio wcześnie wykrycie ich ognisk.

Również na morzach mają miejsce bardzo dziwne zjawiska. Jednym z takich fenomenów natury było np. zdarzenie zaobserwowane w czerwcu 1965 roku u wybrzeży stanu Luizjana. Otóż pewnego dnia rybacy i mieszkańcy nadmorskich miejscowości z przerażeniem zauważyli, iż morze przybrało krwawy kolor, a fale zaczęły wyrzucać na brzeg mnóstwo martwych ryb. Według szacunkowych ocen Urzędu Rybołówstwa i Polowów, na długości około 200 km morze wyrzuciło na brzeg około 125 ton ryb. Ponieważ w „Centrum badawczym zjawisk krótkotrwałych” już wcześniej odnotowano podobne wypadki „krwawych przypliwów”, dość szybko zalecono ich wyjaśnienie. Według opinii naukowców owo niesamowite zabarwienie morza

powodował pewien gatunek mikroskopijnej wielkości roślin, które w okresie swego kwitnienia, przypadającego na koniec lata, bądź wczesną jesień wydzielają truciznę uśmiercającą ryby. Opiswane zjawisko ma miejsce wprawdzie dość rzadko, ale nie jest jedynie w swoim rodzaju. Taki właśnie „czerwony przypliw” w 1971 i 1972 roku u wybrzeży Peru oraz w 1971 i 1972 roku w okolicach Florydy, spowodował zagładę milionów ryb. Także wiele innych interesujących zdarzeń ma ścisły związek ze światem zwierząt. Na początku marca 1975 roku, w małej, nadmorskiej miejscowości Salisbury (stan Massachusetts) wielu turystów mogło obejrzeć niezwykle rzadki i w tej części świata zupełnie niespotykany gatunek mewy. Według przypuszczeń specjalistów gatunek ten wyodrębnił się ze swej rodziny i skrzyżował z zupełnie innym gatunkiem mew pochodzącym z południa. Ustalenie to było możliwe właśnie dzięki badaczom z waszyngtońskiego „centrum”.

Mieszkańcy St. Louis (Missouri), którzy po południu 8 paźdz. 1969 roku znajdowali się na ulicach, ze zdumieniem ujrzeli dziwną, puszystą, kleistą, nitkowatą masę, która unosiła się w powietrzu, opadając gdzieś niedaleko na ziemię. Początkowo sądzono, że jest to efekt jakiegoś silnego zanieczyszczenia powietrza. Jednakże kompetentna instytucja, tj. wydział urzędu zdrowia w St. Louis County zidentyfikował substancję jako pajęczynę, która została po prostu zdmuchnięta z drzew przez wiatr. Ogromne jej ilości unosiły się więc ponad miastem, zaś na niektórych niciach widać było małe pajaki. Dorożny raport „centrum” nazwał ów fenomen „inwazją pajaków z St. Louis”.

O innym atmosferycznym fenomenie doniesiono swego czasu z Australii. Otóż Bill Tapp, hodowca bydła w Northern Territory opowiadał, iż pewnego lutego dnia 1974 roku podczas niezwykle silnej wichury spadło na teren jego pastwisk ok. 150 ryb, długości od 5 do 7,5 centymetra, które wyglądem zewnętrznym przypominały okonie. Jak ustalili meteorologowie zjawisko to było dziełem trąby powietrznej, która wessała w swój wir ławicę ryb i wyrzuciła ją następnie na ląd, z dala od brzegu morza. Podobno tego rodzaju „deszcze ryb” nie są niczym niezwykłym w tym klimacie, zwłaszcza w porze deszczowej.

W australijskim stanie Queensland

miało natomiast miejsce wydarzenie dużo bardziej poważne niż „spadające z nieba” ryby: w ostatnim stuleciu padł on bowiem ofiarą trzynastu inwazji myszy. Hordy tych gryzoni przemierzały setki kilometrów terytorium stanu w różnych kierunkach, poszukując pożywienia. Pastwą ich padły tysiące hektarów upraw. Dopiero, gdy nie było już żadnego pożywienia, przenosiły się w inne miejsce. Choć dokładne przyczyny inwazji nie zostały, jak dotychczas, ustalone, niemniej eksperci „centrum” skrupulatnie gromadzą wszystkie dane na ten temat licząc, iż dzięki temu uda się wyjaśnić i tę zagadkę.

Inna plaga z kolei pojawiła się w Ameryce Południowej. Tym razem były to „pszczoły-zabójcy”. Liczne filmy z cyklu „science fiction” niejednokrotnie wykorzystywały motyw „morderczych pszczoł” kontrolowanych przez przysłowiowego genialnego złooczyńcę lub obłąkanego profesora, które terrorowały okoliczną ludność. A jednak w tych programach filmowych tkwiło jakieś źdźbło prawdy. W 1956 roku pewna liczba pszczoł afrykańskich dotarła do Sao Paulo i tam gatunek ten skrzyżował się z brazylijską odmianą tych owadów. W efekcie powstała forma hybrydowa charakteryzująca się tym, iż pszczoły te pracowały w dość nie sprzyjających warunkach atmosferycznych, często przy stosunkowo niskiej temperaturze i mogły produkować duże ilości miodu. Jednocześnie były one jednak znacznie bardziej agresywne i dzikie, zaś w większych rojach atakowały zarówno zwierzęta jak i ludzi. Odnotowano między innymi kilka wypadków śmiertelnych: w 1975 roku padło ich ofiarą co najmniej trzech dorosłych mężczyzn i jedno dziecko. O-tóż pszczoły te wędrują dalej na północ, przebywając co roku ok. 320 km i znajdują się obecnie w odległości 2400 km od Kanału Panamskiego, który mogą osiągnąć za 5—10 lat. Wydaje się, iż nie istnieje żadna naturalna bariera, która mogłaby powstrzymać ich wędrowkę zanim dotrą do Ameryki Środkowej, Meksyku i USA.

A oto inny zaskakujący fenomen natury. 4 lipca 1969 r. eskorta pewnego amerykańskiego niszczyciela odkryła dziwną wyspę położoną między Haiti i Kubą. Miała ona zaledwie 13,5 m średnicy, lecz była za to pokryta gęstym krzewami, wśród których rosło 10 do 15 drzew o wysokości 9—12 metrów. Żadnych zwierząt nie było tam widać. Niezwłocznie więc udali się na nią badacze z amerykańskiej bazy marynarki w Guantánamo na Kubie, aby poczynić niezbędne obserwacje. Mieli oni nadzieję, iż jest to niemal idealna sposobność ustalenia, jaki wpływ wywiera taki nowo powstały ląd na morze, faunę i florę. Niestety, gdy specjaliści znaleźli się na miejscu okazało się, że wyspa już nie istnieje, bowiem pochłonęła ją morze.

Zbieraniem informacji o tych wszystkich interesujących zjawiskach zajmują się właśnie specjaliści z „Centrum badań fenomenów krótkotrwałych”. Ideę stworzenia takiej instytucji wysunął przed laty dr Sidney Galler, który wówczas był kierownikiem programu badań biologicznych dla marynarki amerykańskiej. W 1965 roku objął on wysokie stanowisko w Smithsonian Institution i właśnie wtedy zaproponował stworzenie międzynarodowego systemu alarmowego wykrywania dziwnych, szybko przemijających zjawisk natury. Wykorzystując już istniejącą aparaturę w Smithsonian Astrophysical Observatory, przeznaczoną między innymi do pomiarów trajektorii satelitów, postanowił zbudować specjalny system łączności. Bob Citron, który nadzorował pracę stacji obserwującej ruch satelitów Ziemi, znajdującej się w Afryce, został dyrektorem a zarazem jedynym pracownikiem nowego „centrum”.

Najpierw — jak sam wspomina — miałem do dyspozycji tylko małe biuro z jednym telefonem i maszyną do pisania. Wyszukiwałem w gazetach i biuletynach agencyjnych wiadomości o różnych zagadkowych zjawiskach i zwracałem się do 10 bądź 15 naukowców z całego świata, usiłując nawiązać z nimi współpracę w dziedzinie wymiany informacji. Na papierze współpraca ta wyglądała wspaniale: ty pomożesz mnie, a ja pomogę tobie. Ale nikt nie wiedział dokładnie, jak ta zasada będzie funkcjonowała w praktyce.

Na początku Citron skoncentrował się jedynie na wulkanach i nowych meteoroidach. W miarę upływu lat „centrum” rozbudowywało się. Dziś uczestniczy aktywnie w wielu międzynarodowych programach naukowych, szczególnie zaś w tych, które dotyczą ochrony i kontroli środowiska w skali światowej. Wspomniany już system alarmowy obejmuje swym zasięgiem ok. 700 studentów ze wszystkich prawie krajów świata, którzy, gdy w ich okolicy zdarzy się coś niezwykłego z dziedziny badań środowiska, natychmiast konsultują się w tej sprawie z profesorami i przekazują następnie uzyskane informacje do „centrum”. Jako rekompensatę studentci otrzymują mnóstwo różnych informacji dotyczących spraw środowiska człowieka, które pochodzą z różnych części naszego globu.

Opracował:  
ADAM CZERSKI

MARIA GERBERÓWNA

# PO PROSTU —GREGORY PECK

Pisał ongiś na łamach „Przekroju” narodowy nasz bajkopis i frazskopis, Ludwik Jerzy Kern: „Moja kuzynka bardzo daleka kocha człowieka Gregory Pecka”. Były to czasy apogeum jego sławy wśród piękniejszej i wcale nie milczącej większości obywateli naszego kraju. Krażyło wtedy także zaprawione pewną goryczą rezygnacji porzekadło: „Lepszy Kowalski w garści niż Gregory Peck na dachu”.

Skazane na Kowalskich panie podziwiali w czarującym amerykańskim aktorze nie tylko męską urodę, wdział zamysłowego uśmiechu, melancholiję „rozumiejącego spojżenia”, lecz właśnie człowieczeństwo, siłę charakteru, który zdawał się reprezentować i uosabiać. W filmach, które oglądaliśmy, był przed wszystkim dżentelmem. Opanowany, powściągliwy, maską lekkiej ironii pokrywający gwałtowne emocje, pozabawiony znamiennej dla wielu bohaterów kina amerykańskiego wewnętrznej brutalności, a jednak silny i nie okazujący słabości w chwilach najcięższych prób — stanowił modelowe nieszczęśliwe wcielenie tradycyjnego ideału męskości.

Posiadał wewnętrzny kodeks zasad i praw i kodeks ten określał jego postępowanie. Nie było w nim cienia zniewieściałości, nic z tak znamiennej dla dzisiejszej epoki efebowości, męskości płynącej z braku określonego systemu wartości i braku charakteru. Nigdy nie sprawiał zawodu. Z jego postaci promieniowała jakaś wytworna szlachetność i prawie anachroniczna rycerskość. I te cechy w głównej mierze zjednywały mu przychylną serc kobiecych.

Elia Kazan, wybitny reżyser amerykański współtwórca słynnej na cały świat szkoły aktorskiej powiedział kiedyś, że każdy aktor niesie w sobie granice własnych możliwości.

— Nie mógłbym na przykład — dodał — powierzyć Peckowi roli nieszczęśliwego amanta, bowiem żaden widz na świecie nie uwierzy, iż jakakolwiek normalna kobieta zdolaby nie odwzajemnić uczucia tak interesującego mężczyzny.

Jak wiemy z ekranowych doświadczeń, nawet angielska księżniczka nie potrafiła mu się oprzeć i tron brytyjski znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie („Rzymskie wakacje”).

Urodził się 5 kwietnia 1916 roku w Kalifornii. Młodość miał, jak przystało na prawego Amerykanina, bujną. Imal się rozmaitych zawodów. Był m.

in. wykładają w lunaparku, studentem na uniwersytecie kalifornijskim, gdzie w studenckim przedstawieniu „Moby Dicka” grał kapitana Achaba. Po wielu perypetiach znalazł się wreszcie w Szkole Dramatycznej a od 1938 roku na scenie. W roku 1944 reżyser Jacques Tourneur powierzył mu główną rolę w filmie „Dni chwaly”, ale rozgłos i popularność przyniosły mu dwa dalsze filmy: „Klucze królestwa” i „Uręczona” Hitchcocka. Peck wyszedł obronną ręką z bardzo trudnej i skomplikowanej roli, w której obsadził go mistrz suspensu, zagrał w jeszcze jednym jego dziele, w „Aktach oskarżenia” ale, jak sam po latach przyzna, był wtedy zbyt niedoświadczony i nie dojrzały, by w pełni uchwycić przewrotność hitcockowskich postaci, zrozumieć styl znakomitego reżysera, stać się rzetelnie jego aktorem, tak jak na przykład James Stewart.

Niemal błyskawicznie, bo już w roku 1947 Peck wchodził do czołówek najpopularniejszych aktorów Hollywood i jego nazwisko zajmuje poczesne miejsce na liście dziesięciu najbardziej kasowych gwiazd amerykańskiego kina. W tymże roku błyska świetna kreacja w „Pojedynku w słońcu” Kinga Vidora. Gra tu w zasadzie postać negatywną, ale obdarzoną bujną osobowością i nieokiełznaną temperamentalnością. Peck nadał swemu bohaterowi rys romantycznego buntownika przeciw ustaleniemu porządkowi i konformistycznej moralności, nadał mu byroniczną dwuznaczność. Aktor grał tu niejako wbrew sobie, wbrew własnej powściągliwości i opanowaniu, wbrew swym raczej intelektualnym predyspozycjom, ale grał wspaniale i przekonująco. Była to jednak w karierze Pecka rola odosobniona. Jeszcze dziesięć lat później w „Moby Dicku” stworzył postać opętanego niszczącego pasją kapitana Achaba, gwałtownika i szaleńca, ale będzie to tylko poprawne wykonanie, robota rzemieślnika. Aktor nie odnajdzie siebie w skórze jednego z najbardziej niepokojących bohate-

row amerykańskiej literatury. Natomiast młody człowiek z „Pojedynku w słońcu” niósł w sobie wszystkie burze i namietności wieku młodzieńczego i być może sam aktor traktował tę rolę jako swoiste pożegnanie pewnej epoki swego życia.

Rola uczciwego dziennikarza walczącego o prawdę i sprawiedliwość w filmie Kazana „Umowa dżentelmeńska” znakomicie przylegała do stylu, którego Peck powoli staje się mistrzem. Gra najczęściej ludzi będących w kolizji z otoczeniem, skrywających pod pozorami pasywności, obojętności lub nawet cynizmu — wielkoduszność serca i prawdość charakteru. Gra też często ludzi skraczonych, mądrzejszych, bardziej dalekowzrocznych i wrażliwszych niż inni i dlatego właśnie ogarniętych poczuciem rezygnacji i beznadziejności. Ale mając świadomość klęski nie rezygnuje nigdy z walki, stawia czoła przeciwnościom nie wierząc w zwycięstwo. Takim oglądaliśmy go właśnie choćby w „Śniegach Kilimandżaru” i w „Ostatnim brzegu”. Reżyser Zinnemann proponował mu rolę szeryfa w słynnym antywesternie „W samo południe”. Odmówił, ponieważ sądził, że rola ta zbyt jest podobna do tej, jaką mu powierzono w „Strzelcu wyborowym”. Potem, oczywiście, żałował. Film Zinnemanna przeszedł przecież do historii.

W roku 1953 wystąpił w urokliwej komedii Wylera „Rzymskie wakacje” u boku młodziutkiej wówczas i przesiłecznej Audrey Hepburn. Stworzył niezapomnianą parę niemożliwych kochanków: ona najprawdopodobniej angielska księżniczka, która postanowiła raz wreszcie wyrwać się ze świata oficjalnych przyjęć i sztywnej gali i on — nieco pechowy dziennikarz, któremu nadarzyła się okazja napisania najbardziej sensacyjnego reportażu swego życia. Jako ów trochę cyniczny, trochę gruboskórny, a przecież w gruncie rzeczy aż nadto przydatny no... zakochany dziennikarz Peck zademonstrował cały swój męski czar, prezentując idealny wzorzec ekranowego amanta, bardziej przystający do współczesnych wyobrażeń i obyczajów, niż niedysyjnę sławy Novarro lub Valentiño, lecz gdzieś w głębi serca wciąż jeszcze staroświecko rycerski.

W „Białym kantonie” Wylera stworzył interesującą i niebanalną pomyslaną postać człowieka, który nie chce poddać się mitologii Zachodu, kultowi

falszywej męskości, opartej na brutalności i przemocy, człowieka, który woli pracować niż walczyć, myśleć niż strzelać i który reprezentuje pewien ideał cywilnej odwagi, ponieważ nie boi się lekceważenia, ani szyderstwa ze strony tzw. opinii publicznej. Postawiony w sytuacji ostatecznej przyjmuje wyzwanie i okazuje się sprawniejszy i męczniejszy od tych, którzy mu zarzucali tchórzostwo i zniewieściałość. Rola w „Białym kantonie” była jakby wymarzona dla Gregory Pecka. Jego popularność po tym filmie ogromnie wzrosła. Znow znalazł się na czołowym miejscu na liście najbardziej kasowych aktorów Hollywood. Ale „Oscara” miał mu przynieść dopiero film zrealizowany w roku 1963 — „Zabić drozda”.

W międzyczasie, w roku 1955, w Paryżu Peck poznał młodą dziennikarkę francuską, Veronique Passani, która w imieniu ilustrowanego tygodnika „Cinemonde” przeprowadza z nim wywiad. Wszystko odbywa się jak w amerykańskim filmie. On jest piękny i sławny. Ona — pełna dziewięcioletniego wdzięku i urzeczona Jego uśmiechem. Paryż pachnie wiosennymi konwalia. Wywiad pami Passani nie należał wprawdzie do najwyższych osiągnięć w tej materii, ale stał się początkiem wielkiej miłości. Wybuchła dość głośny skandal — jedyny zresztą, jak się zdaje, w życiu aktora również powściągliwego jak kreowane przezeń postacie. Peck rozwiódł się z żoną i w roku 1956 poślubił ową dziennikarkę, która słuszenie zapewne dopatrując się w tym fakcie największego swego sukcesu zawodowego, porzuciła karierę człowieka pióra. Od tej pory, przynajmniej według informacji dostarczonych przez źródła oficjalne, Peck pędzi życie przykładowe męża i ojca dziećmi. Wiele czasu poświęca działalności społecznej, uczestnicząc bardzo aktywnie w amerykańskim życiu filmowym, współorganizując i firmując własnym nazwiskiem rozmaite istotne dla tego życia poczynania, m. in. słynny amerykański Instytut Filmowy.

Natomiast w życiu artystycznym po roli w moralizatorskim i publicystycznym „Ostatnim brzegu”, Kramera oraz w „Działach Navarony”, wspaniałym widowisku wojenno-przygodowym przechodził czas na jeden z najładniejszych i najbardziej wzruszających filmów, a mianowicie na „Zabić drozda” Roberta Mulligana. Peck wkładał tu okulary, rezygnując z części męskich uroków i wcielał się w postać „uczciwego Amerykanina” odważnego adwokata z prowincjonalnego miasteczka na południu Stanów, który nie lęka się wystąpić w obronie niewinnie oskarżonego Murzyna. Jest zresztą nie tylko adwokatem prowokującym swą postawą całą kołtuńską opinię miasteczka, ale i odwołującym ojcem trojga dzieci, które wprawdzie przysparzają mu mnóstwa kłopotów, ale też i darzą niebotycznym wprost uwielbieniem, a od czasu do czasu ratują z poważnych opresji. Postać adw. J. A. Fincha utrwaliła w świadomości widzów obraz Pecka — człowieka mądrego, szlachetnego, odpowiedzialnego, obdarzonego odwagą cywilną, wolnego od małostkowości w sferze uczuć i ambicji.

Zaskoczeniem tedy dla publiczności był film „Idę po linie” Frankenheimera. Szeryf — Peck okazał się tu bowiem człowiekiem przekupnym, łamiącym prawo i ład moralny. Widzowie do końca wierzyli, że wszystko to jest tylko pozorów igraszka i że spod maski ukaje się niebawem tak dobrze znana i ufnie budząca twarz Gregory Pecka. Ale spotkał ich srogi zawód. Reżyser całą koncepcję swego dzieła oparł — jak się zdaje — na tym niezaspokojonym oczekiwaniu widzów, którym wprost nie mogło pomieścić się w głowie, żeby bohater kreowany przez Pecka mógł być naprawdę zły. Po tym filmie popularność aktora jakby nieco zmalała. Publiczność jest w gruncie rzeczy konserwatywna i nie lubi, żeby w sposób zbyt radykalny naruszano jej przyzwyczajenia. Peck był swego rodzaju instytucją — solidną i trwałą. A tu nieoczekiwanie okazało się, że nie ma instytucji z nieograniczonym kredytem zaufania.

Z drugiej strony zmiany zachodzące w kinie amerykańskim przewartościowały bez wątpienia cały system gwiazdorstwa filmowego. Ci wspaniali mężczyźni w rodzaju Pecka właśnie świętej pamięci Gary Coopera, Henry Fonda, Jamesa Stuarta, Burtę Lancastera itd. ustąpili miejsca zwyczajnym, popolitym wręcz Hackmanom, Hoffmanom, Al Pacinom, Nicholsonom itd. Zmienił się bohaterowie amerykańskich filmów, no i czas, choć tak wspaniałomyślny dla wspaniałych mężczyzn, płynnie jednak w sposób nieublagany. I Oni się starzeją, choć wydaje się to niemal nieprawdopodobne. Wraz z nimi odchodzi w przeszłość ogromny, bogaty i piękny rozdział dziejów światowego kina. Przeobraża się w historię pewna epoka.

Ale sława Gregory Pecka nie przeminęła jednak jeszcze. Przypomnął go publiczności z ogromnym powodzeniem „Omen” — słynny, lepszy ponoc od „Egzorcyści” film z serii satanicznej, gdzie aktor gra nie tyle diabła, ile amerykańskiego dyplomata, który pada ofiarą diabelskich sztuczek. Niebawem zaś ujrzemy go w roli generała MacArthura.

## PUSTE NIEBO nad NASHVILLE

Podczas jednej z dyskusji przeprowadzonych w gronie kinomanów, omawianie filmu Roberta Altmanna „Nashville” rozpoczęło od ostrej polemiki z recenzją Aleksandra J. Wierczkowskiego, zamieszczonej w 49 numerze „Filmu”. Zasadniczą pretensją, która kieruje Wierczkowski wobec filmu jest stwierdzenie faktu, że recenzent nie nadał „intensywnie” przez 161 minut”. W dalszej części wypowiedzi Wierczkowski ogólnia swoje odczucia utosamiając je z opinią głoszoną przez „wyrobną kulturę publiczną” znaną „filmotekę arcydzieł”, z ilarzym luźnością w normie”. Przytoczywszy tu jedynie te naczelnie założenia artykułu, można wyobrazić sobie jakie zarzuty postawione zostały jego autorowi. Jednakże w przypadku omawiania filmu Altmanna taki punkt wyjścia okazuje się bardzo pożyteczny. Wskazuje bowiem na odmienną „Nashville” w stosunku do dotychczasowych dokonana kina, której sens ujawnia się w rozminieciu oczekiwań z rzeczywistością.

Sprawa najdobitniej przecząca tradycyjnemu rozwijaniu fabuly, jest fakt ukazania świata jakby w stanie tworzenia swego sensu, który pozostaje nie znany jego obserwatorowi. Kamera zagarbia w pole swojego widzenia rzeczywistość absolutnie nieuporządkowaną, nie zatrzymuje swej uwagi na postaciach wybranych, na watach rozwijających się w kierunku kulminacji. Wiele akcji toczących się równolegle, wiele postaci rejestrowanych jednocześnie — bo w tym samym kadrze, chociaż łączą je tylko widzialna jedność miejsca i czasu. Natomiast na wyższym piętrem sensu obrazu filmowego — także podtekstowa jedność kultury, w której zostają umieszczone i która wyraża. Bawiem że o kulturę tu chodzi? Stwierdzamy poprzez wychwycenie charakterystycznych wątków amerykańskiej mitologii, które ujawniają się w działaniach postaci. W wizji małego miasteczka — miejsca corocznego festiwalu muzyki „country and western” — skupia się jak w soczewce subiektywna prawda o społeczeństwie amerykańskim, która od subiektywizmu odznęga się właśnie poprzez jawna niechęć do nakładania na rzeczywistość siatki znaczeń, jakich nie byłibyśmy w stanie odczytać z samego świata przed kamerą. „Ostatni seans filmowy” Petera Bogdanowicza odbywał się w krajoznawczej peryferii: stara Ameryka zmieniała się gdzieś daleko, poza pozornie bezkonfliktowym dniem codziennym prowincjonalnego Nashville staje się miejscem, gdzie nie ma już porównań — bo „prawdziwa” Ameryka dawno przestała istnieć. Pozostała świadomość tej starych mitów, których czas teraźniejszy rejestrują kamery ekiny filmowej Altmanna.

Możliwa jest jednak także inna gązeta takiego potraktowania nie nowożytności, nie wykluczająca sensu zdań poprzednich. W skupisku ludzkim intensywnie poszukujemy prawdy o wartościach stanowiących siłę napędową poszczególnych działań. Nie wyzbywamy się jednocześnie pewnej świadomości wartości pozytywnej. Oto nasza kamera śledząc postacie, a minutę wydobycie z tłumy, zapisując zdarzenia — odsłania jedynie próżnię lub fałsz wartości. W kulminacyjnym scenie zawiązanej fanatykiem gwiazdy estradowej fizycznie likwiduje ucieleśnienie własnej wiary i — co paradoksalne — tylko jemu, mordercy z tłumy, nie możemy zarzucić braku koncepcji. Materialne rozproszenie świata, niemożność uchwycenia go w logiczny ciąg zdarzeń wzajemnie wpływających z siebie i ujawniających w efekcie jakąś prawdę o nim, jest więc konsekwencją braku w tym świecie jakiegokolwiek wartości pozytywnej wobec której rzeczywistość mogłaby uawnić swoją jałowość. W filmie Altmanna nie napotykamy na opaność wartości kulturowych, które można by opatrzyć przeciwnymi znakami. Opozycja po wstaje jedynie przy aktywnym udziale naszej, wcześniejszej świadomości kultury, która wizja Altmanowska burzy. Jeżeli więc nie możemy podać próby zatrzymania się na momentach wybranych, bo nie powiedzia nam one nic ponad to, co wyraża otaczający nas świat, jedynym wyjściem z sytuacji jest całkowite oddanie głosu rzeczywistości. Ochraniając nas przed zarzutem stroniwości, zabieg taki umożliwi nam krótkie, bo „jednozdaniowe” podsumowanie: kamera skierowana na solenną patriotyczno-narodową budowlę przypomina, że zbudowana jest ona z gipsu i dykty. Dalsza wędrowka kamery może odbywać się już tylko w górę: w niebo. Wtedy właśnie mamy okazję świadomości sobie, że proces przechodzenia wartości nie odbywa się jednak w odwrotnym kierunku, a niebo nad Nashville jest puste.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

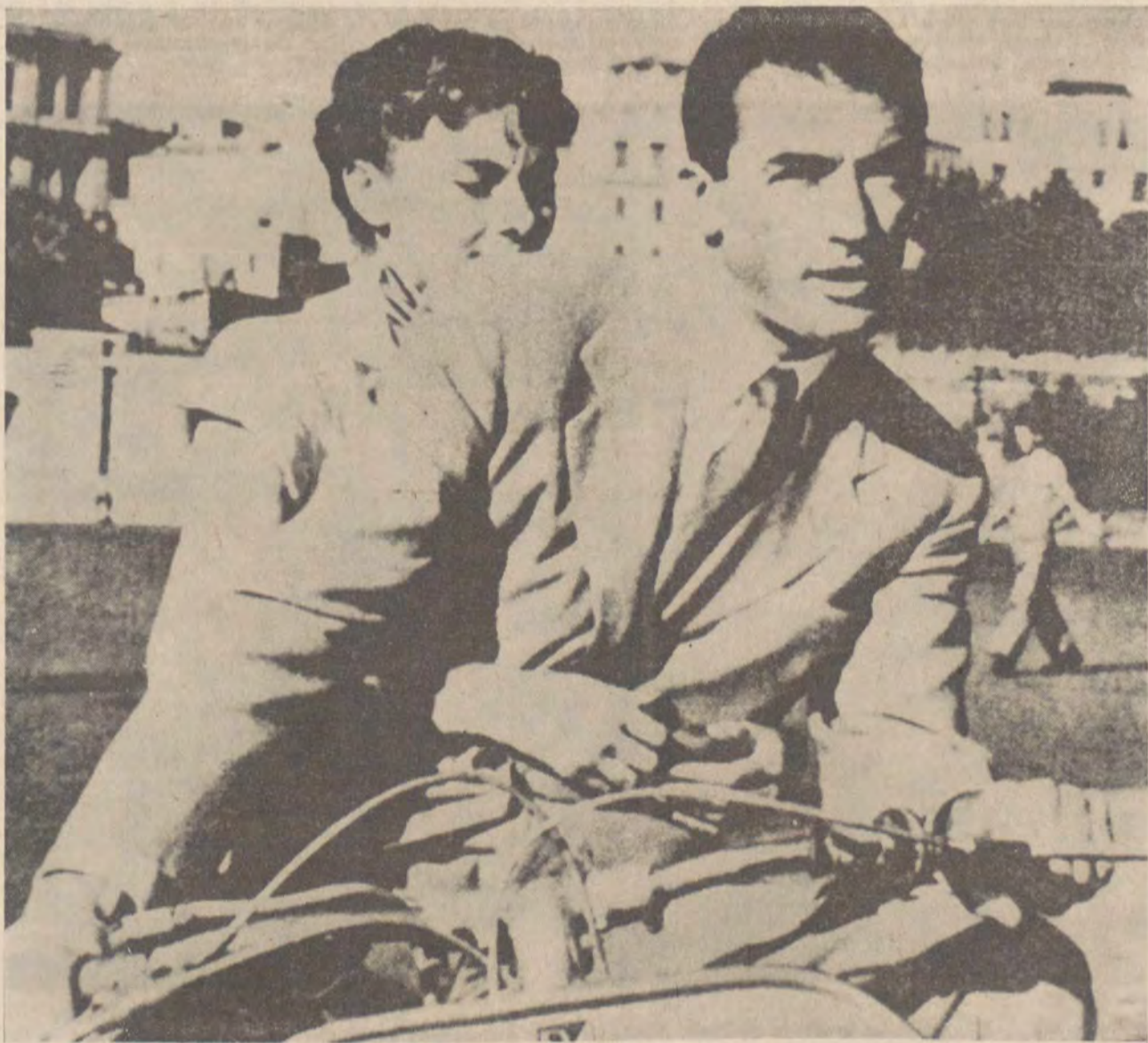


Foto: Archiwum



## ZDZISŁAW BEKSIŃSKI

Napisano o nim wiele żarliwej krytyki, filozoficznych dywagacji i zwykłych przesłanek. Jego obrazy i grafiki, odkąd tylko pojawiły się w latach 60-tych na wystawach i w reprodukcjach centralnej prasy, były szokujące zwłaszcza dla mężczyzn, powtarzając wciąż na nowo motyw kobiety — sadyzki rozkładającej się, zastępczej okrutnej dla brzydkiej pici. Monotematyczne, porno-sadomasochistyczne kompozycje Zdzisława Beksińskiego z Sanoka traktowano od początku jako zjawisko artystyczne; jego samego jako niesamowitego dziwaka.

Trzeba przyznać, że sam prowokował rzeźnym odcięciem się od plastycznego życia ciekawości krytyki i publiczności. Poem, gdy uprzywilejowane przenikanie Beksińskiego do naszej sztuki stało się faktem, gdy doczekał się beatyfikacji na słynnym warszawskim pokazie „Krytycy sztuki proponują” i znalazł poczesne miejsce w wystawie „Romantyzm” — stwierdzono, że jest to artysta potrzebny i że straszny na społeczne zamówienie. Nie tak bowiem nie denerwowało poważnych publicystów jak oczywisty fakt, że ludzie oglądali go chętnie w poszukiwaniu niezwykłych emocji.

Twórczość Zdzisława Beksińskiego wypełniała idealnie niedosyt tematyki modnej na Zachodzie, za to u nas wstydliwie unikanej. Było to ponadto malarstwo co się zowie uczelne, warsztatowo niemal doskonałe, zawsze jednak niebezpiecznie balansujące na granicy kiczu. Gdyby chcieli zwyczajem krytyki wywołać po imieniu źródła inspiracji — ułożą się długa lista nazwisk i przesłanek, na czele z Boschem, Böcklinem, Dalim, Linkem.

Eklektyzm nie jest mimo to głównym grzechem Zdzisława Beksińskiego. Z pewnym rozczarowaniem zauważyć można u tego artysty objawy zwykłego koniunkturalizmu. Jako architekt i fotografik z wykształcenia miał moralne prawo, by od początku ustawić się wśród malarzy „pod prąd”, wbrew abstrakcji, pop-artowi czy nowej figuracji. Nie wyobrażam sobie jednak lepszej metody szybkiego zdobycia rozgłosu niż ta, którą wybrał Beksiński — obławiając się w renomowanych salonach jak, nie przymierzając, Biała Dama. Wtedy to właśnie tematyki niesamowitości czy repsutego erotyzmu inna artysty nie uprawiali. Dziś może by nawet chcieli wielu, tyle że już ich zdążył wyprowadzić Beksiński w sposób bezkonkurencyjny. Samotni czy żywi w Sanoku dawał mu ponadto iluzję się handikap wobec, na przykład, Waleriana Borowczyka zmuszonego niegdyś emigrować do Paryża. Zanim się na dobre obudzono i zorientowano w czym rzecz — Beksiński zdążył już zmienić nastrój i klimat swojego malarstwa.

Jest on obecnie symbolista bardziej niż skądinąd, oddaje się chętnie mistycznym refleksjom nad śmiercią i przemianami. Wystawa w Salonie Sztuki Współczesnej przekonuje, że osiągnął fazę klasycyzmu właściwą ludziom znudzonym powierzchowną uciechą. Wydaje się, że nie traktował nigdy serio wywołanej wokół swojej twórczości wrzawy z upiorną groteską była forma zabawy na koszt widać Konjunkturalizmu Zdzisława Beksińskiego bierze się z przekonania, że w tej materii niczym już dziś zadziwić nie można. Co innego „Memento mori”, nodzwaniającej kościanym szkieletem symbolizm.

Nie dowierzam i tym razem Beksińskiemu — filozofowi i mistykowi, wypisującemu na obrazach cmentarne maksymy, u-situłacemu po freudowsku rozprawić się ze śmiercią i przemianami. Nastrojowość tych obrazów — pełnych kościotrupów, znaków fizycznego unicestwienia, tajemnych kameli i magicznych tablic jest rodem z Edgara Allana Poe; podobnie jak niesamowite opowieści tego ostatniego traci myszka i razi stylizacja „retro”. Watpie — jeśli rzecz traktować poważnie — by kogokolwiek nastraszyl obraz grzeźniący roz-wieszony w salonie przy tętniącej żyłkami Piotrkowskiej. Mimo wszystkich zastrzeżeń — Zdzisław Beksiński jest nadal indywidualnością dużego formatu, w rzadki sposób kontrowersyjną. Wciąż przysługuje mu prawo ustawienia się poza nawiasem homogenizowanej metafory, do której ma się tak, jak — zachowując proporcje — niegdyś Bergman do „nowej fall” kina. Projekcja makabrycznych widziadł sennych na płótna nie ma już smaku sensacji, ale zachowała wciąż niepośledni gatunek.

ANDRZEJ MAJER

BOHDAN FELT

# TAJEMNICA ZJAWISKA KIRLJANA

Parapsychologia, jak wiadomo, kryje w sobie więcej zagadek niż faktów doświadczalnie stwierdzonych i naukowo udowodnionych.

Jedną z takich zagadek jest słynne już dziś „zjawisko Kirjljana”, które choć zostało eksperymentalnie stwierdzone, nadal jednak nie jest jednoznacznie wyjaśnione do końca.

Miało to miejsce w 1939 roku w Krasnodarze, mieście położonym w południowej części Rosyjskiej FSRR. Pewnego dnia podczas badań prowadzonych w laboratorium miejscowego uniwersytetu elektryk Siemion Kirjljan fotografował obiekty, przez które przepuszczał prąd elektryczny o małym natężeniu, ale za to o bardzo dużej częstotliwości. I oto nagle zauważył coś, co go niesłychanie zaskoczyło i zaciekawiło: na kliszy wokół fotografowanego obiektu widać było rozjaśnienie aureoli — świecącej otoczki.

Niebawem wybuchła wojna, co spowodowało przerwę w badaniach nad tym dziwnym i tajemniczym zjawiskiem. Przez długi okres czasu nie pojawiały się żadne nowe informacje na ten temat. O zagadkowym zjawisku znów zaczęto mówić dopiero w 1970 roku. Stało się ono wówczas głośne także na Zachodzie, choć reakcje naukowców były dosyć zróżnicowane. Jedni byli oszołomieni owym fenomenem, inni po prostu nie wierzyli w jego istnienie. Tymczasem odkrywca zjawiska poważnie zintensyfikował badania i wielokrotnie eksperymenty, przekonał autorytety naukowe i wysunął szereg niezwykle śmiałych hipotez.

A jak Kirjljan interpretował zjawisko? Według jego poglądu chodziło tu o pewien rodzaj transmutacji. Dzięki przyjętej przez niego metodzie postępowania pewne własności badanych ciał, które normalnie są niewidoczne, ulegają przekształceniu we własności elektryczne, oddziaływujące na światłość błonę fotograficzną.

Interesujący jest oczywiście charakter tych własności. Ciała nieruchome, jak na przykład moneta, poddane wspomnianemu eksperymentowi są otoczone cienką aureolą jednolitej barwy. W przeciwieństwie do nich organizmy żywe, rośliny, jak na przykład liść zerwany z drzewa lub dłoń ludzka emitują ze swej powierzchni mnóstwo świecących plamek. Aureola z nich utworzona mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Błona światłoczuła jest czasami pokryta dziwnymi, czerwonymi, nieco rozmażanymi plamami. Zgodnie z hipotezą Kirjljana rozmiary tej aureoli zmieniają się wraz ze zmianami w stanie „zdrowia” obiektu badanego. Dwa liście zupełnie identyczne, z których jeden został jednakże zerwany z drzewa dotkniętego chorobą, mają aureole całkowicie różne. Kirjljan jest przekonany, że udało mu się sfotografować „siłę vitalną” istot żywych, ową tajemniczą energię charakteru duchowego, która tworzy prawdziwą osobowość.

Tu już tylko krok od nauki do mistycyzmu. Ale jak opisać się wymowie i sile oddziaływania niektórych eksperymentów? Oto np. rozkładając liść na błonie otrzymujemy fotografię tej aureoli. Następnie przetrnijmy ów liść na dwie równe części i wyrzućmy połowę. Kiedy weźmiemy inną kliszę i położymy na niej jedną połowę — świecąca otoczka odtwarza obraz całego liścia. Jak oświadczył znany radziecki naukowiec z uniwersytetu w Alma-Ata, profesor Władimir Inuskin:

— Zjawisko Kirjljana zbliża nas do problemów ciał astralnych, o których można przeczytać we wszystkich książkach magii i podręcznikach wiedzy okultystycznej.

Niebawem też okazało się, iż specjaliści zachodni, którzy zajęli się badaniami tego zjawiska, potwierdzili sugestie Kirjljana. Między innymi, dr

Thelma Moss, profesor neuropsychiatrii na uniwersytecie w Los Angeles i dr Montague Ullman, psychiatra z Nowego Jorku zrekonstruowali aparaturę doświadczalną, którą posługiwał się Kirjljan i otrzymali takie same tajemnicze aureole. Naukowcy ci postępowali się następnie w swych badaniach nieco dalej. Stwierdzili mianowicie, że gorączka, spożycie alkoholu czy zażywanie narkotyku wywołuje zły wpływ na tzw. „energię bioplazmową”.

Przeciwnie, u ludzi, którzy się wzajemnie kochają, występuje prawdziwy fajerwerk aureoli. W 1972 roku z uwagi na powszechne zainteresowanie zjawiskiem Kirjljana zorganizowano pierwszy naukowy kongres na temat. Wśród zaproszonych gości była między innymi biochemik, Justa Smith, która oświadczyła, iż dionie znachorów w momencie, gdy operują są otoczone aureolą o szczególnej intensywności. Po przeprowadzeniu operacji owa świecąca otoczka niemal całkowicie zanika, z racji wyczerpania się ich „siły vitalnej”. Tymczasem aureola wokół dłoni pacjenta zaczyna się wówczas poszerzać, stając się bardziej intensywną. Mogłoby to być uważane za eksperymentalny dowód na to, że energia duchowa może być przekazywana innym istotom żywym bądź obiektom nieruchomym.

Oczywiście nie wszyscy naukowcy akceptują hipotezy Kirjljana. Istnieje również spora grupa sceptyków. Na ich czele znajduje się m. in. fizyk, Rudolph P. Guzik, specjalista w dziedzinie technik elektrofotograficznych. Dla niego w zjawisku tym nie ma niczego zagadkowego. To, co Kirjljan i jego zwolennicy utrwalali na kliszach fotograficznych, jest według owego fizyka po prostu „zjawiskiem ulotu”. Weźmy na przykład dwie elektrody. Jedną z nich będzie metalowy wspornik, na którym spoczywa klisza. drugą natomiast — obiekt, który mamy zamiar sfotografować. Przykładając między

obie elektrody napięcie spowodujemy, iż po przekroczeniu pewnej jego wartości prąd płynący przez układ wywoła jonizację powietrza. Jeśli różnica potencjałów będzie na tyle duża, że jonizacja stanie się lawinową, to kolejno powstające lawiny utworzą kanał plazmowy, który po pewnym czasie połączy jak nicią obie elektrody. (Kanał ten podobnie jak lawiny rozwija się od katody w kierunku anody pod wpływem silnego pola elektrycznego wzmacnianego jeszcze dodatkowo przez ładunek dodatni o największej gęstości w pobliżu anody). Wówczas następuje tzw. wyładowanie główne połączone ze znacznym wzrostem przepływu prądu i intensywną emisją promieniowania. Tworzy się iskra elektryczna przechodząca następnie w luk, gdy źródło posiada dostatecznie dużą moc.

O ile jednak różnica potencjałów między elektrodami oraz natężenie pola elektrycznego mają zbyt małą wartość do zainicjowania jonizacji lawinowej, wówczas objawia się forma wyładowań zwana świetleniem. Występuje ona w układach o polu niejednorodnym, np. w układach zwanych ostrzowymi. Świetlenie objawia się w postaci otoczki złożonej ze świecących plamek grupujących się wokół elektrody. W przypadku przewodów linii wysokiego napięcia nosi ono nazwę ulotu. Przy większych odstępach między elektrodami (większych np. od 20 centymetrów) pojawia się jeszcze inna forma wyładowania w postaci iskier wychodzących z elektrod ostrzowych. Nosi ona nazwę sнопления.

Omawiając owe zjawiska Rudolph P. Guzik przypomniał również, iż tego samego rodzaju fenomenem fizycznym były swego czasu tzw. „ogień św. Elma”, pojawiające się w czasie dni burzowych na iglicach masztów statków.

Warto także zwrócić uwagę na pewną cechę charakterystyczną dla zjawiska ulotu. Wspomniany wyżej naukowiec powołał się bowiem na tzw. „rezystywność (opór) powierzchniową” obiektu. Na przykład skóra ludzka pod wpływem emocji wewnętrznych może zmieniać swój stan elektryczny. Omawiając ów problem na kongresie Rudolph P. Guzik poruszył sprawę istnienia „kompleksowych warunków, w których błona fotograficzna znajduje się pod wpływem własności dielektrycznych emulsji”. Jednakże argumenta-

cja, jaką zastosował nie przekonała wszystkich, uznano bowiem, iż wcale nie wyjaśniła istoty zagadnienia.

Oto m. in. dlaczego National Science Foundation (krajowa fundacja naukowa) w Stanach Zjednoczonych, powierzyła przeprowadzenie badań w sprawie wyjaśnienia zjawiska Kirjljana grupie pięciu młodych fizyków z Uniwersytetu Gonzaga w stanie Waszyngton. Nie chodziło przy tym o fizyczną istotę fenomenu, bowiem na całym świecie uznano, iż mamy w jego przypadku do czynienia ze zjawiskiem ulotu. Zadaniem owych fizyków było natomiast ustalenie, czemu odpowiada ono u istot żywych.

Prace nad tym zagadnieniem były prowadzone metodycznie. Eksperymentów dokonywano na liściach drzew aby wykluczyć możliwość oszustwa. Wszystkie składniki chemiczne były systematycznie i dokładnie badane. Kiedy wreszcie próby i doświadczenia dobiegły końca, opublikowano ich wyniki i co się okazało? Otóż zdaniem wspomnianego zespołu fizyków, zjawisko Kirjljana wyznacza bardzo dokładnie zawartość wody w obiekcie fotografowanym. I tylko tyle. Tajemnicze czerwone plamy są wywoływane obecnością kropli wody między błoną światłoczułą a badanym obiektem. Tak więc dla National Science Foundation dossier fenomenowi Kirjljana stało się sprawą zamkniętą. Pytanie tylko, czy również łatwo zrezygnują z dalszych poszukiwań wyjaśnienia istoty zjawiska zwolennicy jego „cudownego” pochodzenia. Wydaje się to być raczej mało prawdopodobne, choćby dlatego, że jak pisze cytowany już kilkakrotnie Rudolph P. Guzik:

„Gdyby fizyk dzisiejszej epoki miał wytłumaczyć marynarom sprzed pięciu czy sześciu stuleć, dlaczego wokół wierzchołka masztu tworzy się świecąca otoczka, zostałyby zapewne wyrzucone za burtę lub spalony na stosie (...) A dlatego, że ogień św. Elma były oznaką obecności opiekuna żeglarzy, która to obecność była dla nich nadzieją powodzenia. Być może owe „siła vitalna” stanowi analogiczną „nadzieję” dla współczesnych parapsychologów.”

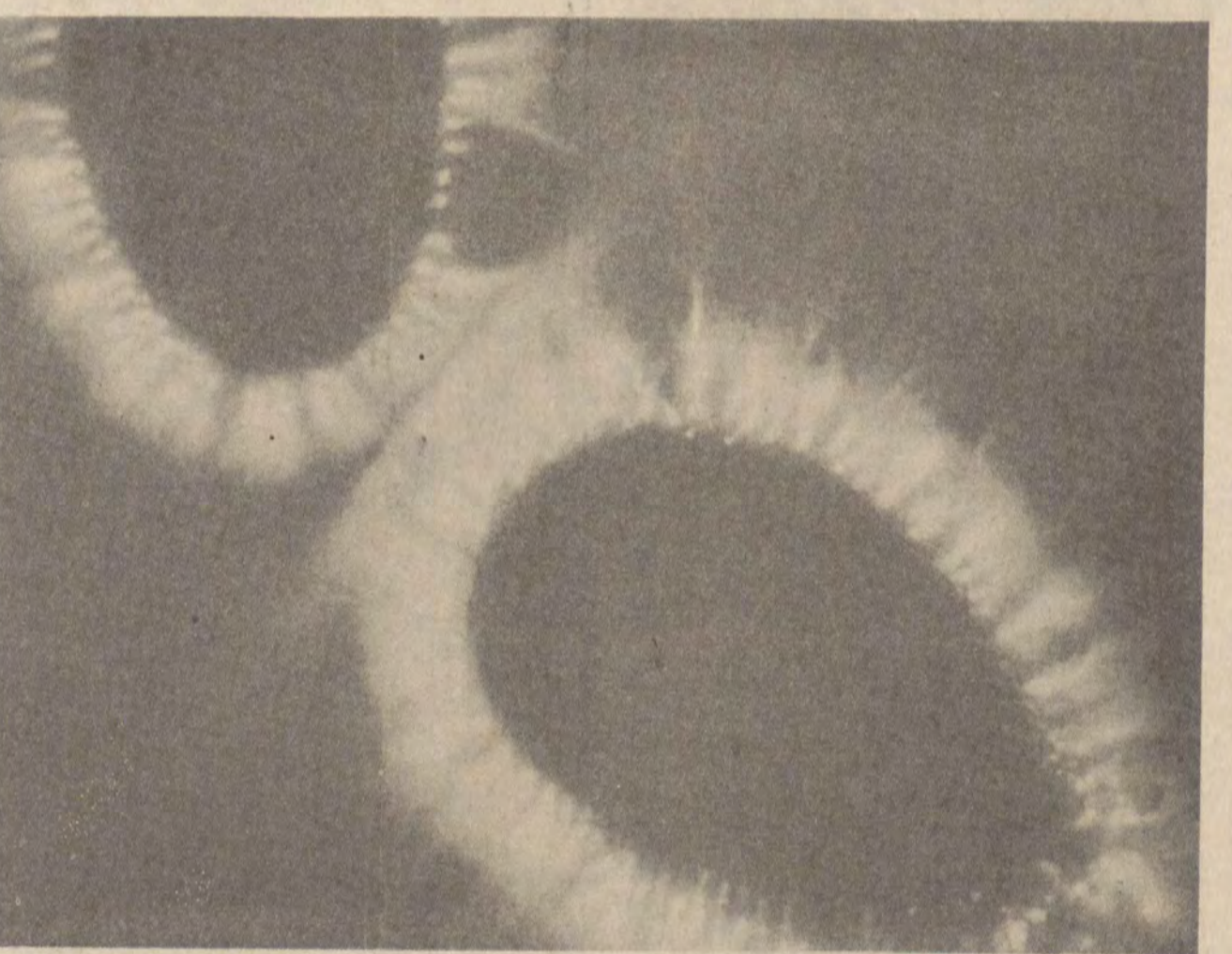


Foto: Archiwum. Palce dwóch rozmówców w czasie dyskusji. Między dwoma świecącymi otoczkami utworzyła się „bariera” koloru niebieskiego.



## U PRZYJACIOŁ

Duże znaczenie przywiązuje się w NRD do rozwoju młodych talentów. Specjalną opieką otoczone są uzdolnione dzieci już od najmłodszych lat. W ostatnim czasie liczba ognisk artystycznych dla dzieci z klas V—VIII wzrosła z 15 do 31 tysięcy. Aktualnie z tej formy zajęć, będących uzupełnieniem zajęć lekcyjnych korzysta około 590 tys. uczniów. Członkowie tych ognisk mają możliwość wszechstronnego rozwijania swoich zainteresowań w kierunku malarstwa, śpiewu, plastyki, muzyki i sztuki scenicznej. Dzieci nieco starsze z klas IX—X mają także swoje ogniska. Zespołów dla tej grupy wiekowej jest około 4000. Obejmują one swoim zasięgiem 54 tys. uczniów. Program tych ognisk różni się nieco od poprzednich. Uczniowie starsi zajmują się w nich literaturą, sztukami plastycznymi i odwroćcami, muzyką, architekturą i kształtowaniem środowiska. Takie możliwości kształcenia i wychowania kulturalno-estetycznego ułatwiają młodzieży systematyczne przygotowanie się do podjęcia nauki w szkołach wyższych i uczelniach zawodowych.

Praca z młodzieżą nie ogranicza się jedynie do zajęć w ogniskach. Przydomowe ogniska pionierów istnieje 1300 ognisk artystycznych a także liczne zespoły, chóry, grupy wokalne, teatry pionierskie, kabarety, teatryki lekcyjne, orkiestry i zespoły fanfaryzistów. Młodzież ma także wiele okazji do prezentacji własnego dorobku i osiągnięć na masowo organizowanych przez FDJ czy organizacje pionierskie, różnego rodzaju imprezach kulturalnych.

W podanych wyżej pracach z młodzieżą udział bierze wielu ludzi z bardzo różnorodnym przygotowaniem i o różnych zawodach. Przede wszystkim pedagogów, ale często, gdzie w grę wchodzi już ścisła specjalizacja wiadomości nauczycieli są zbytnie szczerze. Do akcji wkraczają więc specjaliści różnego rodzaju, a więc aktorzy, malarze, rzeźbiarze, muzycy i architekci. Wielkie pole do popisu mają także działacze kultury.

Z danych tych wynika, że praca z młodzieżą zakrojona jest na wielką skalę. Warto by pomyśleć o podobnych organizacjach w Polsce. Istnieją u nas wprawdzie także ogniska, ale posiadają one bardzo wąską specjalizację i służą młodzieży już wciągniętej do pracy w danej dziedzinie twórczości.

Niecodzienna impreza — jak donosi „Berliner Zeitung”, przygotowały dla swoich pracowników zakłady ELEKTROKOHLE w Berlinie. Otóż o szóstej rano, spieszących do pracy robotników powitały dźwięki muzyki. Muzyka rozbrzmiewała w małej sali młodzieżowej kawiarenki. Na scenie występował niewielki zespół, który wraz z solistą od dawna dobył już sympatię swoich słuchaczy. Tym razem słuchaczami są pracownicy nocnej zmiany. Słuchali się oni wokół dwóch rzędów stolików, bogato zastawionych kanapkami, kawą, piwem i winem. O ósmej rano eksperymentalny koncert zakończył się. Słuchacze wyszli głośno komentując innowację. Wszyscy byli zadowoleni. Słyszało się głosy, że to świetny pomysł, ponieważ stwarza on możliwość relaksu po pracy.

Praca w zakładzie ELEKTROKOHLE jest uciążliwa. Warunki w tej starej fabryce są wciąż jeszcze gorsze niż w nowych zakładach tej samej gałęzi. Z liczącej 2,6 tys. osób załogi kilkadziesiąt osób pracuje w systemie trzy i cztery zmianowym. I właśnie dla robotników z nocnej zmiany organizuje się rano, po skończonej pracy różnego rodzaju imprezy kulturalne. Oczywiście nie co dzień. Na początku organizowane one były okazjonalnie. Obecnie postanowiono by odbywały się regularnie: na bieżący rok zaplanowano osiem porannych koncertów dla załogi. Wydaje się, że jest to inicjatywa wprawdzie niecodzienna, ale godna popularyzacji.

Światem kapitalistycznym wstrząsają nieustannie ostre kryzysy ekonomiczne, walutowo-finansowe, społeczne, polityczne. Ostatni kryzys na Zachodzie uznali tamtejsi ekonomiści za najgłębszy od czasu „wielkiego kryzysu” lat trzydziestych. Wiosną ub. roku rządy burżuazyjne, przedstawiciele biznesu i specjaliści reklamowali szeroko symptomy ożywienia działalności handlowej. Te optymistyczne prognozy pozostały jednak w rejestrze nie spełnionych nadziei.

W kołach handlowych i państwowych Zachodu panuje duże zaniepokojenie perspektywą nowego, jeszcze głębszego zastój i spadku. Co więcej, we wszystkich krajach kapitalistycznych sygnalizuje się już teraz gwałtowny spadek koniunktury ekonomicznej. W tej sytuacji większe państwa kapitalistyczne nasilają walkę o zdobycie rynków zbytu, zwiększają nacisk na prawa mas pracujących i tak już ciężko doświadczonych nieustannym wzrostem bezrobocia, wzrostem cen, ograniczeniem świadczeń rządowych na ochronę zdrowia, naukę, oświatę i inne cele społeczne.

Zgodnie z regułą, w okresie spadków ekonomicznych i stagnacji między wiodącymi krajami kapitalistycznymi zaostrza się walka konkurencyjna o zbyty produkcji. Na obecnym etapie szczególnie zaciekłą walkę na tym obszarze toczą między sobą monopole zachodniej Europy i Japonii. Grozi ona przekształceniem się w otwartą „wojnę handlową”. Ostatnio do walki tej „dołączył” trzeci partner — Stany Zjednoczone. W związku z tym front walki konkurencyjnej monopolów rozszerzył się bardzo znacznie, a walka przybrała na ostrości.

Niestabilność kapitalizmu jest coraz bardziej widoczna. Obiecanki „uzdrowienia kapitalizmu” i stworzenia w jego ramach „społeczeństwa po wszechnej szczęśliwości” skończyły się oczywiście fiaskiem. Teraz, uznając widac że każdy powód jest dobry, koła rządzące Zachodem oskarżają kraje należące do OPEC, że to one — podwyższając ceny na naftę — ponoszą winę za pogłębiający się kryzys kapitalizmu i że wskutek ich zachłanności masy pracujące Zachodu muszą dźwigać na swych barkach całe brzemie kryzysu. Jak obliczają zachodni eksperci ekonomiczni, podwyższenie cen na ropę naftową przez kraje OPEC (decyzja z 17 grudnia ub. roku) spowoduje, przy podwyżce o 10 proc., zmniejszenie o pół proc. tempa wzrostu w krajach przemysłowo rozwiniętych i jednocześnie wzrost o pół proc., lub więcej, tempa wzrostu stopy inflacji. To podwójne salto ekonomiczno-polityczne nie wprowadzi jednak w błąd mas pracujących, które doskonale wiedzą

gdzie tkwią przyczyny kryzysu. Grupa naukowców z zakresu prognozowania z uniwersytetu w Pensylwanii przygotowuje przegląd światowych tendencji ekonomicznych w latach siedemdziesiątych. W 1975 roku prognozowano w takim przeglądzie, że wszystkie oznaki świadczą o zaznaczającym się ożywieniu ekonomicznym krajów przemysłowo rozwiniętych. Jednakże później nastąpiła tzw. letnia pauza i w szeregu krajów kapitalistycznych, a w ich liczbie także w Stanach Zjednoczonych, roczne tempo wzrostu spadło do 4—5 proc. Spore zamieszanie, a nawet zaniepokojenie wywołało zaobserwowane zjawisko, iż spadek tempa wzrostu odbywa się jednocześnie w wielu krajach kapitalistycznych. A jeśli

dziedzi i przedstawicielką mniejszości narodowych.

„Financial Times” informuje, iż ceny rosną nadal w rocznym tempie od 5 do 6 proc. i mało jest nadziei na to, żeby tempo inflacji było niższe niż w ubiegłym roku. Natomiast „Newsweek” publikuje prognozy, które zapowiadają podwyższenie tempa inflacji w najbliższym roku, a nawet w najbliższych dwóch latach.

Handlowy bilans Stanów Zjednoczonych zmniejsza się, a ponieważ przedłużająca się „letnia pauza” objęła także handlowych partnerów USA, nie udało się zwiększyć eksportu, w czym wiązano w Stanach Zjednoczonych duże nadzieje.

W Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich 6 miesięcy paritet funta

sterlinga spadł o 15 proc. w porównaniu z walutami jej partnerów handlowych.

Prognozy wzrostu w 1977 roku rewiduje się obecnie w kierunku spadku. Latem ub. roku liczone, że przewyższy on 3,5 proc.; zgodnie z obecnymi ocenami wzrost ten jednak osłabł w granicach 2,5 proc. i oczekiwano na jego dalszy spadek do końca grudnia ub. roku. Przy braku jakiegokolwiek polepszenia obecnej sytuacji funta, tempo inflacji może osiągnąć w 1977 roku 13 proc., a w tym wypadku, gdyby podwyższenie płac do lipca 1977 roku ograniczało się tylko do 9 proc., jak przewiduje to porozumienie ze związkami zawodowymi o płacach i warunkach pracy, to inflacja mogłaby wzrosnąć do 20 proc. i więcej.

Prognoza wzrostu w 1977 roku rewiduje się obecnie w kierunku spadku. Latem ub. roku liczone, że przewyższy on 3,5 proc.; zgodnie z obecnymi ocenami wzrost ten jednak osłabł w granicach 2,5 proc. i oczekiwano na jego dalszy spadek do końca grudnia ub. roku.

Przy braku jakiegokolwiek polepszenia obecnej sytuacji funta, tempo inflacji może osiągnąć w 1977 roku 13 proc., a w tym wypadku, gdyby podwyższenie płac do lipca 1977 roku ograniczało się tylko do 9 proc., jak przewiduje to porozumienie ze związkami zawodowymi o płacach i warunkach pracy, to inflacja mogłaby wzrosnąć do 20 proc. i więcej.

Ożywienie ekonomiczne w Francji zaczęło się zmniejszać poczynając od marca 1976 roku i z pewnością proces ten będzie postępował nadal. Poziom bezrobocia wzrósł do 5,3 proc., a tempo wzrostu realnego globalnego produktu narodowego w roku 1976 miało osiągnąć zaledwie 5,2 proc. Zażądanie konieczności importu ropy naftowej, żeby zrekompensować spadek produkcji energii elektrycznej wytwarzanej w elektrowniach wodnych, spowodowany suszą w lecie ub. roku. W 1976 roku zmniejszył się, a w 1977 roku zmniejszy się jeszcze bardziej eksport produkcji rolnej. W konsekwencji tego wszystkiego bilans

## NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

## NOWY ROK — STARE KŁOPOTY

spadek tempa wzrostu — na co wskazują nauki wyliczone z wydatków w 1973 roku — odbywa się jednocześnie w wielu krajach, to czysty spadek tempa wzrostu dla każdego z tych krajów osobno wziętych będzie półtora raza większy. A to już ma swoją wagę.

Spśród przemysłowo rozwiniętych krajów zachodnich największe trudności przeżywa Włochy, Anglia i Francja. Wyniki rozwoju ekonomicznego w poszczególnych rozwiniętych krajach kapitalistycznych w roku 1976, opublikowane na łamach amerykańskiego tygodnika „Newsweek”, i zresztą nie tylko na jego łamach świadczą o wyraźnym zaniepokojeniu i nawet pewnym pesymizmie. Mnożą się oznaki gwałtownego spadku koniunktury ekonomicznej. Wiodące mocarstwo świata kapitalistycznego — Stany Zjednoczone — boryka się nadal z wieloma trudnymi problemami. Były one liderem w okresie ożywienia ekonomicznego światowej zapoczątkowanego w lipcu 1975 roku a w ubiegłym roku znajdowały się na końcu tabeli pod względem spadku tempa wzrostu.

„Letnia pauza” w ożywieniu ekonomicznym w USA trwa dłużej niż oczekiwano i grozi przekształceniem się w „zimową”. Tempo wzrostu realnego globalnego wewnętrznego produktu zmniejszyło się do wymiaru 4 proc., co wystarczy wprawdzie do utrzymania ekonomiki na określonym poziomie, lecz nie wystarczy do zabezpieczenia ciągłości fazy odtwarzania. Bezrobocie znów wzrosło do 8,1 proc., przy czym jest bardzo wysokie (jak zresztą we wszystkich krajach kapitalistycznych) wśród mło-

dzian, jak się pisze, „siedzi Anglia”, a Francja osłabiona gospodarczo nie jest w stanie tej roli zrównoważyć. Kryzys gospodarczy w EWG prowadzi do coraz większych podziałów między silnymi i słabymi i ma następstwa także polityczne. Czy brytyjski polityk zaradzi temu, czy też za jego przewodnictwem rozwija się definitywne nadzieje na wypełnienie statutowych zadań przez EWG — to właśnie zastanawia wielu komentatorów.

## PRZED ZMIANĄ W BIAŁYM DOMU

## KRYTYCZNY MOMENT W EWG

## GROŹBA NOWEJ EKSPLOZJI W LIBANIE

Już tylko kilka dni dzieli Jimmy Cartera od zaprzysiężenia jako 39 prezydenta Stanów Zjednoczonych. Uroczystość w myśli sugestii jej głównego bohatera — ma mieć charakter „święta ludowego”. Carter zapowiedział ponadto, że wystąpi na niej skromnie ubrany: nie włoży fraka ani cylindra. Można na tę wiadomość uśmiechnąć się i zapytać: a cóż to ma za znaczenie? Otóż zdaniem obserwatorów takie, że Carter pozuje na „ludowego” prezydenta. Ową detale ceremonii traktuje się jako zapowiedź nowego stylu kierowania państwem. Amerykanie jednak oceniali będą prezydenta według tego, jak rozwiązywać będzie nabrzmiałe problemy wewnętrzne, a zwłaszcza, czy zmniejszy rozmiary bezrobocia.

Dla nas natomiast najbardziej interesujące jest jego oświadczenie, że jeszcze w br. zamierza spotkać się z Leonidem Breżniewem w celu przedyskutowania stosunków bilateralnych i omówienia najważniejszych problemów światowych. Obustronnie pokłada się nadzieje na uzgodnienie i zawarcie nowego układu o ograniczeniu broni strategicznych. Podobno do tychczas ustalono 90 proc. tekstu.

Przypomnijmy, że obowiązuje układ wygaśnie w roku bieżącym i

powinien być zastąpiony nowym, nad którego brzmieniem dyskutuje się w czasie dwustronnych rokowań — SALT II.

Chociaż Carter zapowiedział, że sam w większym stopniu niż jego poprzednik kierować będzie amerykańską polityką zagraniczną — ważne jest jednak osoba sekretarza stanu. Jak wiadomo w nowej administracji Kissingera zastąpi C. Vance — 59-letni polityk, a prawnik z wykształcenia. Mówi się o nim, że jest zdolnym negocjatorem i przypominają, że do czasu wyboru Nixona rokował w Paryżu w sprawie przerwania wojny wietnamskiej i zawarcia pokojowego porozumienia, a niedawno — jako specjalny wysłannik — walczył przyczynił się do zażegnania wojny między Grecją i Turcją. Wątpi się jednak, aby nowy sekretarz stanu tak często jak Kissinger wędrował po świecie i tak aktywnie włączał się w problemy różnych jego rejonów. Raczej Vance nie będzie zbiegać o międzynarodowe „gwiazdorstwo” i działać — jak jego poprzednik — błyskotliwie. A więc i w tym przypadku będziemy obserwować nowy styl prowadzenia polityki zagranicznej USA.

Pełniej poznamy Vance zapewne dopiero w czasie belgradzkiego spot-

kania przedstawicieli państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a także przygotowań do przewidywanego spotkania na szczycie radziecko-amerykańskiego. W tym miejscu dodajmy, że z kół zbliżonych do Cartera rozszalała się wiadomość, iż nowy prezydent w pierwszym roku swej kadencji nie przewidywał bezpośredniego dialogu z żadnym innym zagranicznym przywódcą.

I jeszcze jedna uwaga: zdaniem wielu amerykańskich komentatorów Carter zastawił silny gabinet, złożony jednak przede wszystkim z ludzi dobrze obeznanych z problematyką krajową. Czy potwierdza to przypuszczenie, że nowa administracja skupiać się będzie głównie na sytuacji wewnętrznej?

A teraz dwa inne tematy dzisiejszego przeglądu tygodnia.

Prasa poinformowała o tym, że przewodniczący Komisji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej przejął polityk brytyjski — Roy Jenkins. Brytyjczyk wiąże z tym określone nadzieje, ale jednocześnie podkreśla, że cztery lata jego kadencji ostatecznie zdecydują, czy organizacja ta stanie się zwartą pod względem politycznym i ekonomicznym i będzie równorzędnym partnerem dla USA, czy też nigdy już nie osiągnie celów, dla których została powołana.

Wspólnota przeżywa bowiem krytyczny moment — różnice między krajami członkowskimi, zamiast maleć, wciąż rosną. Niepokoje zwłaszcza dominująca rola RFN, w której

handlowy był pasywny już w lipcu 1976 roku. Za okres całego 1976 roku deficyt francuskiego bilansu handlowego wyniesie około 2,5—3 miliardów dolarów. Francuscy ekonomiści przewidują, iż ceny na towary masowego spożycia powinny we Francji wzrosnąć w 1977 roku o 8—9 proc.

W Republice Federalnej Niemiec perspektywy dalszego ożywienia ekonomicznego — zdaniem zachodnich ekonomistów — nie są wyraźne i w ocenach na rok 1977 — twierdzą o — należy zachować ostrożność. Jednak wiadomo już dziś, że realny wzrost ekonomiczny nie przekroczy 4,5 proc., a to nie pozwoli na zmniejszenie liczby bezrobotnych (4,5 proc w listopadzie ub. roku). Rok 1976 był w RFN rokiem boomeru przemysłu samochodowego, ale w 1977 roku popyt na auta — jak oceniają zachodni niemieccy ekonomiści — nieco spadnie. Przyszłość zachodniemieckiej ekonomiki w dużym stopniu zależy od zagranicznego popytu na wyroby RFN. Jeśli inflacja i trudności z bilansem handlowym zmuszą głównych handlowych partnerów RFN do wprowadzenia środków ochronnych, to obecny boom eksportowy może się szybko skończyć.

We Włoszech przykra niespodzianką jest zwykła cen konsumpcyjnych od września 1976 roku o 18 proc., w porównaniu z wrześniem 1975 roku, a łączny deficyt bilansu handlowego od stycznia do września 1976 roku wzrósł trzykrotnie w porównaniu z analogicznym okresem w 1975 roku. Znaczną część ogromnego deficytu bilansu handlowego ekonomicy włoskiej władzy na karb dewaluacji lira. Zgodnie z prognoząmi ekonomicznymi dla Włoch, w 1977 roku ceny rynkowe wzrosną o 20,5 proc.

W Japonii, po gwałtownym wzroście ekonomicznym, stymulowanym zwiększeniem eksportu, większość prognoz na rok 1976 była optymistyczna. Jednak w pewnym momencie zaczął się on wyraźnie opóźniać. W wyniku stałego podnoszenia cen hurtowych dochody koroacji przemysłowych gwałtownie wzrosły, chociaż stopień wykorzystania mocy produkcyjnych był nadal niski. Tempo wzrostu waha się w granicach od 2 do 6 proc. Obecna ekonomiczna polityka Japonii — co z podejrzliwością i niezadowolaniem obserwują amerykańscy i zachodnioeuropejscy ekonomiści — przypomina kurs prowadzony 10 lat temu, kiedy nadzieje na ożywienie ekonomiki widziano tylko w zwiększeniu popytu na wyroby japońskie za granicą. Konsekwencją takiej polityki jest aktywny bilans handlowy. Tylko, że takiej koncepcji: „bogactwo się kosztom partnerów” — Japończycy nie mogą dziś realizować. W ocenie ekonomistów zachodnich szanse na szybkie uzdrowienie ekonomiki Japonii są słabe.

Nowojorski „Business Week” prognozuje, że w 1977 roku w krajach zachodnich i Japonii realne tempo wzrostu ekonomicznego w porównaniu z 1976 rokiem — spadnie jeszcze bardziej. Wszystkie nadzieje na powstrzymanie na Zachodzie spadku ekonomicznego w 1978 roku wiąże się z realizowaniem polityki ukierunkowanej na zahamowanie inflacji.

JERZY CZECH

„kleszeni”, jak się pisze, „siedzi Anglia”, a Francja osłabiona gospodarczo nie jest w stanie tej roli zrównoważyć. Kryzys gospodarczy w EWG prowadzi do coraz większych podziałów między silnymi i słabymi i ma następstwa także polityczne. Czy brytyjski polityk zaradzi temu, czy też za jego przewodnictwem rozwija się definitywne nadzieje na wypełnienie statutowych zadań przez EWG — to właśnie zastanawia wielu komentatorów.

Innym wydarzeniem tygodnia, również ośmiennie komentowanym, są liczne akty terronu w Libanie, które grożą ponowną eksplozją wojny domowej. Taką ewentualnością jest zainteresowany przede wszystkim Izrael. Agencje donoszą, że w Libanie roi się obecnie od różnych prowokatorów i obcych agentów, nasłanych przez konserwatywne kraje i koła polityczne. Początek nowego roku nie wróży więc prezydentowi Sarkisowi łatwego powodzenia w realizacji reform, które zapowiedział. Te zaś są niezbędne dla ustabilizowania sytuacji politycznej w kraju i choćby częściowego zatarcia śladów wielomiesięcznej wojny.

Sytuacja w Libanie, jak już pisaliśmy przy innej okazji, rzutuje poważnie na konflikt bliskowschodni. Dlatego wzmożenie podstaw powoju w tym kraju ma znaczenie ogólniejsze.

W. SŁAWSKI

## Złudny blask PLEBISCYTU

Nieocenione „Szpilki” napisały: „Na Turniej Czterech Skoczni wytypowano trzech Polaków: Bobaka, Walusia i Tajnera. Jest okazja wyjazdu do Zakopanego na reportaż psychologiczno-obyczajowy „Co się dzieje z Fortuną?”

Niedawno dowiedziałam się, że „Fortuna chce wrócić”. Można byłoby całą sprawę zamknąć powiedzeniem, że „Fortuna kołem się toczy i nie wiadomo, gdzie jeszcze wyskoczy”, ale lepiej zachować ciszę i mmiar nad tą sprawą. Gwiazdy jednego sezonu bywały, są i będą. Nie każdy ma zdrowie, sily, upór i talent Ireny Szewińskiej, aby od 12 lat uczestniczyć w różnych plebiscytach.

Mamy tych plebiscytów co niemiarą i zastanawiam się nad tym, czy to do brze, czy źle? Ostatnio do bogatego zespołu plebiscytów dołączyła również Telewizja Polska organizując plebiscyt z udziałem Eurowizji i Interwizji. I chociaż wiele osób zrywało się na to, uważam, że pomyśl jest wcale dobry. A dlaczego? Postaram się to zaraz wyjaśnić.

Najpierw jednak dwa przykłady. W dorocznym plebiscytc „Przeгляdu Sportowego”, plebiscycie najwyższej notowań i noszący charakter niemal oficjalnej klasyfikacji sportowców minionego roku, zwyciężyła Irena Szewińska a tak bardzo ostatnio popularny w Polsce Wojciech Fibak zdobył dopiero trzecie miejsce. W popularności pokonał go Jacek Wszola. Tu przypomnę, że w poprzednim roku Wojciech Fibak był piąty. Okazało się zatem, że łatwiej jest w ciągu roku wydzignąć się na drugie miejsce niż dostać się na wyższe miejsce w plebiscytc „Przeгляdu Sportowego”.

W Łodzi natomiast triumfowali koleżka: Mieczysław Nowicki na pierwszym miejscu i Janusz Kotliński na drugim. Później w popularności czytelników „Dziennika Popularnego” uplasował się piłkarze ręczni, a dalej piłkarze „Widzewa” i EKS; Zbigniew Boniek, Stanisław Terlecki i Jan Tomaszewski.

W konfrontacji europejskiej Irena Szewińska zajęła dopiero piąte miejsce. W pierwszej piątce nie zmieścił się ani Jacek Wszola, ani Wojciech Fibak. W propozycjach poszczególnych telewizji znajdowały się nazwiska sportowców, a których wielu teledwidów nie wiedziało w ogóle co sędzi, gdyż nie komentarz Tomasz Hopfera. Ale według mnie nie ma w tym nic dziwnego, bo wiem popularność w danym kraju nie musi się nakładać na popularność w innych krajach. Przykładem Jacek Wszola i Wojciech Fibak, choć również wymieniani przez inne telewizje, to przecież nie tak często jak Irena Szewińska.

W konfrontacji ogólnopolskiej nie zmieścił się natomiast Mieczysław Nowicki, który — jak wiadomo — zdobył dwa olimpijskie medale, po raz drugi „Kryształowe kolo” katowickiego „Sportu” i został przez „Życie Warszawy” obwołany najlepszym kolarzem świata minionego sezonu. Zresztą w plebiscytc „Przeгляdu Sportowego” nie zmieścił się również najlepszy piłkarz roku — Henryk Kasprzak. Mieczysław Nowickiego wyparł Stanisław Szozda, a Henryka Kasprzaka — Kazimierz Deyna. Można to byłoby skwitować parafrazą popularnego porzekadła o tym, że „Jaka kibiców na pstrym koniu jeździ”, gdyż nie było w tym troszkę poważniejszego problemu.

Niektórzy byli skłonni wyrazić swoje oburzenie, że znów nie docenia się Łodzi, że się ją pomniejsza, że to skandal i w ogóle. Oburzenie nie tu nie pomoże, już choćby dlatego, że popularność w jednym rejonie nie musi się równać popularności w innych, czego zbyt jaskrawym przykładem jest plebiscyt telewizyjny. Nie mam więc zamiaru przyłączać się do grona oburzonych, a to dlatego, że gdybym się miała oburzać, to przecież nie tylko z powodu Mieczysława Nowickiego, ale również z powodu Henryka Kasprzaka i innych.

Zamiast więc oburzenia chciałabym podnieść inny problem. Jeśli już musimy oceniać co roku popularność i zasługi sportowców, co ma być miarą ich sukcesów i praev, to zastanówmy się również nad tym, jak zniwelować różnice występujące między wysiłkiem indywidualistów a tych, którzy występują w zespołach? Mimo całego uznania dla zasług kapitana zespołu polskich siatkarzy — Edwarda Skorka nie jestem przekonana, że czy wyróżnienie jego honoru cały zespół. Podobnie mam wątpliwości w przwładku Kazimierza Deyny, który przelecił przez czesie sezonu „nauczawał”, a odnalazł się dopiero pod jego koniec, więc czemu zawdzięcza swoją tak wysoka renowację? A dlaczego bardzo sympatyczny Stanisław Szozda jest bardziej popularny od nie mniej sympatycznego i bardzo pracowitego Mieczysława Nowickiego?

Niektórzy skłonni są całą winę zważyć na prasę, radio i telewizję, bo to w końcu środki masowego informowania kształtują opinie. Jest to — w moim przekonaniu — bardzo łatwe usprawiedliwienie, jako że zawsze winni są dziennikarze, tylko że to nie nie wyjątki. Plebiscytc powstały przede wszystkim wtedy, kiedy sukcesy odnosili u nas indywidualiści, kiedy panowało przekonanie, że zespołowo to my nie potrafimy. Później okazało się jednak, że potrafimy i to bardzo, ale znów sukcesy zespołowe nie mieszczą się w starej idel plebiscytów. Trzeba więc coś z tym zrobić. Zmienić pewnie koncepcję plebiscytów.

BOGDA MADEJ

W szatni stał na straży malarik Chops, kiedyś najlepszy stoper w kraju, teraz chudziutka, bezzębna, zapominana przez wszystkich kukielka.

Patrząc na mnie, wydał blade, rozciągł się jak guma policzki. Zaskoczył mu się oczy. Chciał coś powiedzieć, ale dygotał tylko jak pies na mrozie.

— Daj buty, tatusiu — poprosiłem.

— Chce pan grać?

— Za to mi placą?

— Złatwili pana?

— Nie pytaj.

— Jeeezuss! — szepnął, kiedy zdjąłem spodnie; przyglądał się jak uszczony krwawo zmaltretowanej nodze. Poradził nieśmiało: — Włóż pan ochraniacz...

— Myślisz?

— No, pewnie.

— Czyba masz rację, tatusiu.

Wyjąłem z torby butle z chlorkiem etylu. Dotąd nie użyłem jej, żeby nie zrywać przedwcześnie mięśni, teraz spryskałem dokładnie fioletową, soczystą, pulsującą bólem świą, aż stała się zimna i nieczuła jak lód. Zaklepiłem ją plastrem i owinięciem trzema warstwami bandaży. Przyłożyłem ochraniacz i naciągnąłem na to wszystkie pończochy. Deszczułka nie pasowała jakoś do opatrunku, uciskając wierzchołek guza. Nie chciałem jednak robić staremu przykrości i pozbyłem się jej dopiero w ustępie.

Dawniej przed każdym ważnym meczem siusiłem co kilka minut. Nerwy. Kaliber poszczególnych imprez piłkarskich, najprecyzyjniej zmierzysz ilością moczu wydalonego przez zawodników. Taka sobie refleksja... Szedłem podziemnym tunelem ku drzwiom, które prowadziły na boisko — z chłodu w ciepło, z cienia w światło, z ciszy w oguszający ryk widowni.

Zauważyli mnie. Tysiące tranzystorów wymówiło nagle moje nazwisko. Poczuliem się wielki, samotny, niezwycięzony, trochę jak bohater z westernu. Na pochybel zdrabom — pomyślałem, zbliżając się do ławki, a oni wszyscy, Cygario, Wezel, Sommer, rezzerwowi, wybaluszili oczy.

— Złatwili mne — powiedziałem wesoło.

— Kto?

— Jacy ludzie.

— Tylko twarz?

— Tak — skłamałem. — Nogi w porządku.

— Chcesz grać? — zapytał Wezel.

— Zaraz, zaraz! — buknął Cygario.

— Zmiana, proszę państwa! — rzyzał spiker. — Maks Dragan sżykuje się do wyjścia!

— Słuchaj! — powiedział głośno coach. — Możesz zmienić Krauzego, ale to jest puszczone mecz, jasne?

— Do przerwy nie był puszczone.

— Nie twoja sprawa.

— Okay — przytaknąłem. — Nie moja. — I pomyślałem: żyję z tego i muszę czasami parolić dla pieniędzy. Taki już mój zawód. Ale dlaczego szew nie musi nigdy robić złych butów, a krawiec złych ubrań? Dlaczego, skoro już wybrałem ten zawód, nie mogę uprawiać go uczciwie? Nawet hazard może być uczciwy — ruletka, poker, okno... a ja muszę robić oszukiwaczy szlafly...

Babinow przejął jakieś niedokładne podanie, prezent od przeciwnika, który wie, że i tak nie wyrządził mu krzywdy. Oj, ten Babinow... Jeszcze nie nauczył się grać, a już się nauczył przegrywać. Strzelił bez przekonania, we właściwym mniej więcej kierunku. I nagle trybuny zamaryły. Półgólna piłka, która szła w aut, odbiła się raptem od biodra oswiałego obrońcy i poszybowała rykoszetem w lewy róg. Niski bramkarz Fortuny wyłapał ją z najwyższym trudem.

Mogło być jeden jeden. Kiks. Przypadek. Ale futbol jest sumą kiksów i przypadków, w równej mierze sportem co grą — wszystko może się zdarzyć, i to wbrew woli obydwu zainteresowanych stron. Wytrenowane mięśnie, styl, kondycja, szybkość, taktyka, to dopiero połowa sukcesu, którą zawsze może zniwelować złośliwy los.

Wezel podniósł do góry tablicę z numerem dziewięć. Sędzia dał znak i Krauze zszedł, a ja wszedłem na boisko; rytualnie podaliśmy sobie ręce. Zegar odmierzał już ostatni kwadrans spotkania. Ten w radio rzyzał jak opętany, kiedy ruszyłem wolnym krokiem na pozycję. — Dragan! Maks Dragan! — Próbowal podkrocić nastrój; z płyty wiało nudą i ludziom lepiej słuchało się tego głosu niż patrzyło na grę. Brazylijski obyczaj — ilu widzów, tyle tranzystorów, których wrzask stwarza pozory dramatu, a to z kolei — błędne koło — działa na piłkarzy i niejednokrotnie reżyseruje widowisko.

Dostałem piłkę od Forestera, ale nie przyjąłem jej. Chciałem zachować energię na te krótkie chwile, kiedy naprawdę będzie mi potrzebna... Stałem jak manekin i gapiłem się w trybuny. Gdy zagrał do mnie Koptas — także nie drgnąłem. Śmiechy i gwizdy. Przez kilka minut byłem bez piłki, wreszcie doczekałem się jej od Pinokia. Przebiegłem pięć metrów i niefrasobliwie puściłem ją w aut. Spiker, który siedział gdzieś na wzywe, wrzasnął, a tysiące tranzystorów powtórzyło: — Skandal! Oto manery reprezentacyjnego napastnika! — Ukucnąłem. Podbiegł sędzia i upomniał mnie głośno: — Grać! — Był młody jak na sędziego; miał dobrą, myślącą twarz. Powiedziałem grzecznie: — Zobacz! — I zsuwając pończochę pokazałem mu o-

bandażowany piszczał. Fortuna nacięła ławą, ostro, szybko. Mieli niezłych pomocników i doskonale skrzydła. Ten Prot — daj Boże zdrowie! Kołował naszym jak profesor. Piłka znówu przyłała się do moich nóg! Trąciłem ją czubkiem buta i przechwycił ją Góraj, prawy obrońca Fortuny. — To są kpiący! — oburzył się serdecznie spiker.

— Śpiąca Królowna usiłuje zepsuć to piękne, męskie widowisko! Zerknąłem na zegar. Do końca brąkowało zaledwie czterech minut. Wytrzymał jeszcze! Wytrzymał! Zgiąłem się w pół jak scyzoryk wspierając ręce o kolana. Spiker aż zakpiął gniewem. — Zmęczyl się, proszę państwa!

głaby z powodzeniem obronę sześciolletnia dziewczynka. Dwa — jeden.

Mój Boże! Tlum cieszył się z ochłapu, szalał, rzyzał, trąbił, śpiewał, wiwatował, wymachiwał transparentami i flagami, parudziesięciu kibiców wdarło się na murawę, żeby uściskać piłkarzy. Nie obchodził ich styl, tylko wynik — w pełni akceptowali przekupstwo; gdyby zasła potrzeba, sami zrobiliby składkę, nawet kosztem swoich żon i dzieci.

Jakże okrutny potrafi być sport! Ogarnęła mnie rozpacz i pomyślałem, że już nigdy nie zdołam wymazać z pamięci tych przekłębnych godzin. Coś we mnie pękło, po raz drugi tego dnia. Chciałem zejść z boiska, ale piłkę przechwycił nagle Babinow. Instykt pchnął mnie na pozycję. Wrzasnąłem: — Tu! Tu! Daremny wysiłek, bo stracił ją w tej samej chwili. Prot znówu ruszył po skrzydło, ogniskując na sobie uwagę sędziego, zawodników i publiczności. Góraj, mój cień, wykorzystał okazję i wykonał greps, którego nauczył się w trakcie długich lat praktyki. Nikt nie widzi, więc można... Zbliżył się podrażniony moim wrzaskiem. Zamarkował uderzenie kolanem, a kiedy odruchowo zasłoniłem brzuch, dzielił mnie byłkiem w usta.

Upadłem. Pokryte strupami nogi oddały się niebezpiecznie. Część widowni wypatrzyła incydent i nagrodziła obrońcę brawami. Trochę boksu na boisku zawsze się przytrafia. Dotknąłem ręką twarzy i zobaczyłem krew. Dużo krwi. Sędzia pochylił się nade mną. Pomógł mi wstać i kiwnął na lekarza. — Szkodnie cicho: — Daj spokój. — Nie możesz tak grać, Chryste Panie! Podaj mi chustkę, a ja przytknąłem ją do ust i ponosisłem: — Odrwad doktora. — Wkładasz tak rzeźnik, ciałowiku. — Okay. — Kto ci to zrobił? — Nikt. — Podniósł do góry palec, co oznaczało, że dołża minutę i wznowił mecz. Babinow patrzył na mnie swoimi naiwnymi, niebieskimi oczami i płakał. — Wybac mi, Maks — powiedział. — Grać! — Nie mogę, Maks! — Grać!

Z furją podskoczyłem do piłki, przedrybowałem dwóch zadzierając wysoko nogi, co jest najlepszym sposobem na faule. Trzeci zdążył założyć mi haka od tyłu tak, że znówu pacnąłem w trawę. Podniosłem się i nim sędzia odgwiżdzał rzut wolny, rwałem już lewą stroną boiska, odwracając głowę i wyjął: — Daj tu, Bobas! Daj!

Był najbliższy i zrobił to odruchowo. Dokładnie tak, jak go nauczyli — na zaskoczenie; szpicem, bez rozbiegu. Dobry przerzut! Wysoki, długi, czterdziestometrowy łob. Zobaczyłem piłkę nad głową, na tle nieba przysioniętego dymem z kominów pobliskiej elektrociepłowni, a później na tle korony stadionu, kiedy spadała przecinając ślup elektrycznego oświetlenia, a jeszcze później całkiem nisko, tuż nad ziemią,



Foto: Archiwum

## ANDRZEJ MAKOWIECKI KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Nasze śpiące królowiátko musi troszeczkę odzignąć? Widownia skwitowała to szczęśliwym rechotem. Sylwia ma pyszną zabawę — pomyślałem. Było mi źle. Czulem nudności, drżały pode mną kolana. Ból wracał. Wróciła także piłka, do której środkiem, całkowicie bezstronnie obrońca Fortuny szedł leniwym truchcikiem. Pomógł mi a drugim obrońcą wypatrzyłem przyzwolity luz. Powiedziałem sobie: teraz! Wystrzeliłem jak z procy, puknąłem piłkę lewą nogą i od razu miałem nad facetem dwa — trzy metry przewagi. Ktoś zawył z tyłu: Uwaga! — Ale byłem już sam na sam z bramkarzem. Rozdział głębię i rozpostarł ręce, jakby chciał mnie pocałować. Nie wycełył chyba, że strzelił. Przechyliłem się w lewo, a on poszedł za zwoдем z tufnością dziecka. Zwód w równej mierze polega na zrzeczności, co na oszustwie. Jeśli spowodujesz przeciwnika zwoдем, aby przesuwał ciężar ciała na jedną z nóg, sprawa jest przesądzona — nie ma mowy, żeby zdążył przerzucić balast na drugą, zanim go przejdiesz z tym cudownym, radośnym uczuciem wolności. Minąłem biedaka i stanąłem przed pustą bramką. Było cicho, okropnie cicho, gdy nieefektywnym, lekceważącym kopnięciem posłałem piłkę do siatki.

Jeden — jeden. Sędzia gwizdnął i wskazał na srodek. Widownia odcnęła się i zaszeptała. Spiker odzyskał mowę i zaczął coś nieskładnie gadać. Z obydwu ławek poderwali się trenerzy, lekarze i masażysty, krzyżując coś, wymachując rękami, Czerwona biedronka na zegarze świetlnym punktowała osiemdziesiątą (osmą minutę meczu). Ból, gorycz, smutek, zniechęcenie — wszystko ze mnie opadło. Czulem ogromne, rozszadzające piersi, nieporównywalne z niczym umieszczenie. Teraz muszę bronić — pomyślałem. — I zrobię to, choćbym miał walczyć ze szwami. Cofałem się pod własną bramkę, ale oni, dwudziestu jeden udziałowców, błyskawicznie rozegrali partię między sobą. Nie było czasu, aby bawić się w zachowanie pozorów i wyniszczeniować jakąś prawdopodobną sytuację. Ot, jedni podeszli z piłką, a drudzy, z całkowitą pogardą dla widzów, otworzyli przed nimi drogę. Nawet jeśli przesadzam — tego flaka, którym Prot pokonał Jaskółę, mo-

na nie przyczajonych obrońców i sprężonego do skoku bramkarza.

Bieg zatykał mi gardło. Nie przedę się — pomyślałem. — Nie dam rady. Mogę tylko postawić na strzał. Mogę tylko liczyć na cud...

I palnąłem z klepką, z kąta, z piętnastu metrów, z pozycji, której żaden przekupny sędzia nie był w stanie zagrować, a ten sędzia nie był wcale przekupny. To był fajny, uczciwy gość. Piłka trafiła w okienko jak pocisk, zatrzępotała w sieci.

Z trybun znówu powialo ciszą. Rozumną, sprawiedliwą, przeciągającą się ciszą, zakłóconą gwizdkiem sędziego, który zdecydowanym gestem wskazał na srodek, a po chwili jeszcze jednym dłuższym gwizdkiem zakończył mecz.

Naprawdę, fajny był ten sędzia...

Poszedł do mnie.

Nie podał ręki Mołowi, który kapitanował naszej drużynie, nie podał Pepeczce, kapitanowi Fortuny.

Stał przede mną w tej nieładzkiej ciszy; widziałem jego szczupłe, powierzone oznamnymi pończochami nogi, twarzą nie widziałem, bo patrzyłem w ziemię.

Położył mi rękę na plecach, jakby zamierzał bronić mnie przed lynchem, i szliśmy tak, ramię w ramię, do tunelu.

Trybuny wstały i w dalszym ciągu była cisza. Milczał spiker radiowy, milczał zapowiadacz boiskowy. Nikt nas nie lżył. Nikt nie cisnął w nas butelką czy jakikim.

Obok wejścia do tunelu czekała Sylwia, ale minąłem ją. Czulem smutek i radość, i szedłem obok sędziego wilgotnym, mrocznym tunelem, nie patrzając na służbę porządkową ani na kibiców ustawionych szpalerem wzdłuż drogi. Było mi dobrze i źle, i chciałem być sam, więc skinałem głową sędzie, a żaden z nas nie wymówił słowa.

To samo w szatni. Stary Chops patrzył na mnie pokornymi, wiernymi ślepiami psa i nie powiedział nawet: Jeeezuss!... Chwyciłem pośpiesznie torbę i ubranie, i nie przebiegając się, zarcując tylko płaszcz na kostium, wyszedłem na drugą stronę hali.

Otworzyłem samochód, włożyłem czapkę i przeciwsloneczne okulary, żeby zakryć trochę twarz. Zgrzyłem dwa proski i ponownie spryskałem nogę chlorkiem etylu. Później wyjechałem ze stadionu, starając się zgubić czym prędzej szary, rozlewający się we wszystkich kierunkach tłum.

Dziwiłem się, że ludzie są mimo wszystko tacy podnieceni, a nawet radośni, i kiedy rogatki miasta były już za mną, włączyłem radio.

Głos spikera brzmiał teraz całkiem spokojnie:

— A zatem, drodzy państwo, Fortuna. Inny pretendent do tytułu, piłkarze Corony, dosłownie w ostatnich sekundach stracił bramkę ze strzału Krojczego i zmarnował swoją ogromną szansę. Złowiesz manewr Naprodu nie przyniósł zmian w tabeli. Tajna broń coacha Fioletowych, który desygnował do walki Maksymiliana Dragana dopiero na kwadrans przed zakończeniem meczu, spałła na panewce. Sprawiedliwość stało się zadose!

Zjechałem na bok, zgasiłem silnik i wsparłem głowę na kierownicy. Twarz piekła mnie od uderzeń, a serce waliło głucho o żebra. Za oknem świstał urągłiwie wiatr.

Opowieść z tomu przygotowywanego do druku w Wydawnictwie Łódzkim.

## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

# STYCZEŃ 45

Nie przypuszczał na pewno stary Samuel Abbe, że jego wielka fabryczka na Radogoszcz stanie się symbolem i mauzoleum pamięci o tych wszystkich, którzy oddali życie w mroku okupacyjnej nocy. Dziś, na kamiennym bloku, obok wypalonego muru fabryki widnieją słowa poety Tadeusza Chrościewskiego: „Tu spoczywamy, zamordowani w przeddzień wolności. Imiona i ciała zabrali nam ogień — żyjemy tylko w waszej pamięci. Niechaj śmierć tak nie ludzka nie powtórzy się”.

Na stary Plac Wolności, ogłoszony przez okupanta w pomnik Tadeusza Kościuszki wjechały czołgi Armii Czerwonej. Wojskowi operatorzy Czołwki Filmowej utrwalili na kliszy te historyczne momenty. Chyba cała polska ludność Łodzi wybiegła na ulice miasta witając żołnierzy Armii Wyzwolicieli.

W ciągu paru dni zaludniło się miasto. Zawszą nadciągali wracający z obozów, z ukrycia, z lasu.

Wspomina Tadeusz Drewnowski, dziś publicysta „Polityki”: „Śnieg zawiewał szosy, przez szosy z trudem przebijali się nawet wojskowe jeepy. Brnąłem piechotą z plecakiem. Parę dni wcześniej otrzymałem idący mi sięgami razem z armią trójkątny list poczty polowej z Lublina: pierwszy znak od brata, którego już pogrzebałem. Wraciał w kościuszkowskim mundurze jako korespondent frontowej wojskowej gazety. Spotkanie wyznaczał warunkowo w Łodzi, kiedy zostanie zdobyta, tam będzie następny postój redakcji. Nie wiedziałem czy front wysunął się już poza Łódź, pogłoski były rozbieżne, ale brnąłem w tamtym kierunku. Zeskakując z przyczepionej ciężarówki, która wyrzuciła mnie na periferiach Krakowa, osłupiałem: na chłopa podwodę wsiadał mój drugi brat (sznyel z 1939 roku, angielski battle dress jeńca oflagu). Podróż trwała blisko dobę i urwała się nieodwołalnie w Kolużkach. Nazajutrz w Łodzi —

już we trzech — rozpatrywaliśmy, kiedy i którędy może wracać matka z Ravensbrück”.

Typowe wojenne drogi Polaków zbiegały się w Łodzi. Trzej bracia — z obozu, oflagu, z Pierwszej Armii — i matka z Ravensbrück. Jest w tym krótkim wspomnieniu symbol i wielka metafora tamtych dni. Dni powrotu.

I te niespodziewane spotkania na zatłoczonej Piotrkowskiej. Prof. Józef Chalasiński, późniejszy rektor Uniwersytetu Łódzkiego, stawił się tu do pracy naukowej, ale na razie stoi na Piotrkowskiej i nie może znaleźć noclegu. „Znalazłem się na ulicy ze swoim plecakiem, zasypywany gestym śniegiem (...) gdy młody człowiek, którego nie poznałem w pierwszej chwili, a którym był Henryk Szletyński, przywitał mnie serdecznie i wskazał mi tzw. wówczas Dom Pisarzy Polskiego, siedzibę Związku Literatów Polskich przy ul. Bandurskiego pod numerem ósmym. Tam też znalazłem przystłek...”

Dwudziestego drugiego stycznia obradował na swym pierwszym posiedzeniu Tymczasowy Zarząd m. Łodzi. Dzień wcześniej przybył do miasta Pełno-

mocnik Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej.

Równy w miesiąc po wyzwoleniu odbyła się Łódzko-wojewódzka Konferencja Polskiej Partii Robotniczej, która podjęła rezolucję w sprawie przemysłu. Czytamy w niej: „Odbudowa życia gospodarczego kraju, szybkie uruchomienie przemysłu, ożywienie wymiany — stały się w chwili obecnej podstawowymi zagadnieniami umocnienia władzy demokracji w Polsce (...) Produkcja w życiu gospodarczym rola państwowego przemysłu stawia przed klasą robotniczą i jej organizacjami naczelne zadanie gospodarcze...”

Ruszyły łódzkie fabryki.

W kilkanaście tygodni później, w maju 1945, Prezydent Krajowej Rady Narodowej, Bolesław Bierut podpisał dwa dekryty. O utworzeniu Uniwersytetu Łódzkiego i o utworzeniu Politechniki Łódzkiej.

WIDOK



### SSAKI

Na skrzydełku obwoly do książki „Ssaki”, której autorami są: Włodzimierz Serafiński i Ewa Wielgus-Serafińska. Państwowe Wydawnictwo Naukowe zapowiada, że jest to pierwszy tom nowej serii noszącej tytuł „Zwierzęta świata”. Seria ta obejmować będzie szesć tomów omawiających ssaki, ptaki, owady, gady, płazy i ryby. Autorami poszczególnych tomów będą polscy uczeni, specjaliści poszczególnych dziedzin zoologii.

Seria „Zwierzęta świata” będzie miała inne ujęcie niż dotychczasowe opracowania tego typu. Przedstawiać będzie zwierzęta nie, jak to zwykle się dzieje, w układzie systematycznym, ale w powiązaniu z ich środowiskiem naturalnym, podkreślając przystosowanie poszczególnych gatunków do określonych warunków środowiskowych i wpływ tego środowiska na zwierzęta. Dla przykładu, w pierwszym tomie „Ssaki” autorzy wyodrębnili następujące środowiska zwierzęce: leśne, bezleśne — a więc tundra, stepy, sawanny i pustynie, góry, środowiska wodne i wreszcie środowiska syntantropijne, czyli takie, w których zwierzęta wchodzi w bezpośredni kontakt z efektami działalności człowieka, np. z zabudowaniami mieszkalnymi i gospodarczymi.

„Ssaki”, a więc i cała seria „Zwierzęta świata” przeznaczona jest nie tylko dla czytelników zawodowo związanych z zoologią. Ucieszą na pewno wszystkich, których pasjonuje życie zwierząt.

Wydawca zapowiada, że następny tom poświęcony będzie owadom. Jego autorem jest Henryk Sandner.

Włodzimierz Serafiński, Ewa Wielgus-Serafińska „Ssaki”, PWN, W-wa 1976, str. 433, ilustracje, cena zł 130.

### POGODA DLA BOGACZY

Irwin Shaw, urodzony w 1913 roku amerykański powieściopisarz i nowelista, cieszy się u nas popularnością od czasu ukazania się jego powieści i nie mniej głośnego filmu z młodym Marlonem Brandem „Młode lwy”. Tęży szybko znikający z księgarskich półek dwa tomy jego opowiadań: „Poszukiwania na ulicach miasta” oraz „Młodość w zaułku” oraz przekłady powieści „Lucy Crown” i wydanej w 1973 roku „Wieczoru w Bizancjum”. Podobne powodzenie można wróżać dwóm pokazanym tomom nowej powieści Irwina Shaw „Pogoda dla bogaczy”. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1945-1948. Na tle tej powojennej panoszą Stanów Zjednoczonych pisarz przedstawia dzieje rodziny niemieckiego imigranta. Trójka młodych Jordachów, dzieć piekarni — siostra i dwaj bracia — chcą w życiu coś osiągnąć, chcą się urządzić, za wszelką cenę wejść do tej warstwy amerykańskiego społeczeństwa, która się liczy. Chcą być szczęśliwi. Każde z nich dąży do osiągnięcia tego celu własną, odmienną drogą. Osiągnięcia wreszcie powodzenie, ale cena, jaką za nie płać, jest bardzo wysoka. „Pogoda dla bogaczy” to powieść psychologiczno-obejzajowa, w której problematyka moralna wysuwa się na pierwszy plan. Mimo pokażnej obfitości książka będzie na pewno chętnie czytana, bo przecież Irwin Shaw należy do pisarzy, którzy umiają zainteresować czytelnika.

Powieść ukazała się w Klubie Interesującej Książki.

Irvin Shaw „Pogoda dla bogaczy”, przełożył: T. Dehnel i W. Niepokólczycki, PIW, W-wa 1976, tom I/II, cena zł 80.

### SPORTOWE ŻYCIE

Głośny film Lindsay'a Andersona „Sportowe życie” nie tylko okazuje oglądaczom najpiękniejszą scenę kinową, późniejszą również w historii kina, ale przede wszystkim, „Książki i Wiedza” ukazał się polski przekład powieści, według której powstał film. Powieść nosi ten sam tytuł „Sportowe życie”, a jej autorem jest David Storey, współczesny pisarz angielski, który w swojej twórczości prozatorskiej i dramatycznej zajmuje się przede wszystkim problematyką społeczną. Jako syn górnik z Yorkshire zna ją z grąsą doskonale.

W „Sportowym życiu”, poprzez historię Arta, cześniejszego się ogromną popularnością zawodnika rugby, pisarz ukazuje nie tylko mechanizmy rządzące angielskim sportem zawodowym, ale kreśli również szerszy obraz życia środowiska robotniczego. W całości wpleciony jest również wątek melodramatycznej miłości głównego bohatera, który zdobywa wydwaloby się wszystko, ale w ostatecznym rozrachunku płaci za to wysoką cenę. Przegrzywa swoją miłość. Warto śmiało po powieści „Sportowe życie”, nawet, jeśli nie oglądało film. Mimo, że był znajomy, to przecież książka w porównaniu z nim nie traci. Przeciwnie. Najlepszą adaptacją nigdy nie odda wszystkich walorów dobrej książki.

David Storey „Sportowe życie”, Książka i Wiedza, W-wa 1976, str. 303, cena zł 25.

### BOCNE DROGI

„Od Teresy, mojej ciotki z Kanady, przyszedł list. Nie był to ewenement, bo listów od niej przychodziło wiele, ten jednak tym się odznaczał, iż precyzował termin jej przyjazdu do Polski na lato. Od dłuższego już czasu dawała wyraz nieprzeparanej tęsknocie do szeleszczących tanów zboż i skowronków ciewerkałających w przestworzach oraz, ogólnie biorąc — odczynionej sielanki na tonie rodziny no i wreszcie podjęła mekska decyzja. Powiadomiła nas, że samotni wycieczkowi Poloni Kanadyjskiej przyjadą na Okcie czterestnego czerwca o godzinie wpół do ósmej rano”.

I taki jest początek niecodziennej podróży po Polsce pewnej arcyśmierzonej rodziny. Znany to? Oczywiście. Niecodziennie „Lato z radem” w 1975 roku serwowało nam z dzienne, odcinek po odcinku, nowa powieść Joanny Chmielewskiej. Wówczas jeszcze bez tytułu, bo miał go, w ramach konkursu, wymyślić sam słuchacz. Powieść ma już teraz tytuł: „Boczne drogi” i niedawno ukazała się w „Czytelniku” w „serii z jankimkiem”. Nie wszyscy pewnie mieli czas słuchać codziennie kolejnych odcinków, a jeśli nawet, to przecież było to dawno i z przysięgą uroczej rodziny i tak będą się śmiały na nowo. Miłośnikom zwiadowanych pomysłów Joanny Chmielewskiej możemy tylko doradzić, aby jak najszybciej pognał do zaprzyjaźnionej księgarni. Może jeszcze dostaną „Boczne drogi”.

Joanna Chmielewska „Boczne drogi”, Czytelnik, W-wa 1976, str. 301, cena zł 30.

### WARTO PRZECZYTAĆ

J. K. HUYSMANS — „Na wspan”. Przełożył i wstępem przedzielił Julian Rogozński, Czytelnik 1976, str. 276, zł 32.

MICHAŁ WOJEWÓDZKI — W tajnych drukarniach Warszawy 1939-1944. Wspomnienia. PIW 1976, str. 363, zł 60.

JAN STANKIEWICZ — „Dziele tabakierzy”. W. Lit. 1976, str. 223, zł 125.

JERZY PERTEK — „Wielkie dni malej floty”. W. Poz. 1976, str. 614, zł 75.

STEFAN KIENIEWICZ — „Warszawa w latach 1795-1914”. PWN 1976, str. 388, zł 120.

„Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa”. Pod redakcją Henryka Markiewicz i Janusza Sławskiego, Wyd. Literackie, cena zł 100.

HENRYK SEDZIWY — „Pedagogiczne kierowanie szkołą ogólnokształcącej”. WSiP, cena zł 37.

ARON GURWICZ — „Kategorie kultury średniowiecznej”. PIW, cena zł 60.

## LEWYM OKIEM

### INSTRUKCJE „P-dzien.”

W pewnym instytucie amerykańskim pokazano uczniom serię zdjęć planety Wenus wykonanych z odległości kilkaset kilometrów. Uczniowie skrupulatnie analizując zdjęcia orzekli, że żadne życie na Wenus istnieć nie może. Po tym oświadczeniu ujawniono dopiero, że były to zdjęcia naszej rodzimej Ziemi, dokonane z okładu stacji międzyplanetarnej. Wyobrażam sobie miny owych uczonych meżów!

Do niedawna prasa nasza, podając informacje o latających obiektach nie zidentyfikowanych, opatrywała je zawsze komentarzem lekko kłującym dziwić się zwłaszcza czemuś to obiekty owe uparły się latać tylko nad Ameryką, skłonna — jak wiemy skądinąd — do różnych masowych psychoz. Ale przed tygodniem przeczytaliśmy wiadomości o dziwnych zielonych obiektach, świecących pomarańczowym światłem, widzianych w wielu miejscach Portugalii. Wiadomości podane bez komentarza, co stanowi

także pewien stosunek do sprawy, już nie a priori sceptyczny.

Wcale nie mam zamiaru włączać swoje trzy grosze w płyciutki spór o istnienie czy nieistnienie inteligentnych stworzeń w kosmosie. Ktoś powiedział, że na pewno żyją gdzieś istoty mądrzejsze od nas, czego dowodem fakt, że wcale się nie kwapią do zawarcia z nami znajomości. O tej sprawie można myśleć, a co gorsze — pisać, jak się komu żywniej podoba, z czego dziennikarze skwapliwie korzystają.

W Ameryce — od której dzisiaj nie możemy się oderwać — poleca się studentom, szkół dziennikarskich opisać jakies ważniejsze zdarzenie z dwóch krańców przeciwnych punktów widzenia. Wyobraźcie sobie młodego adepta sztuki dziennikarskiej, który pisze na tak: „Silna wola i niezachwiana wiara w słuszność własnej sprawy doprowadziła pana Iksińskiego do zasłużonego zwycięstwa”. A jednocześnie na

drugiej kartce tak: „Tępy upór niejakiego Iksińskiego — jego fanatyczne zaślepienie stanowią wciąż jeszcze przeszkodę do zdjęcia jego nieszczerzej sprawy z porządku dziennego”. W prasie amerykańskiej nie chodzi bowiem o przekonania piszącego, tylko o jego umiejętność formułowania efektownych zdań. O postugiwanie się paroma różnymi językami, a każdym celnie i dowcipnie.

Nie mamy takich szkół, ale mamy takich właśnie „poliglotów”. Słuchamy takiego i czujemy wyraźnie, że przeczytał sam siebie. Przeczył? Ależ nie! Oj tylko raz mówi „oficjalnie” kiedy idzie „prywatnie między nami”, a jeszcze innym razem — w trybie „dawno wiedziałem, ale co miałem gadać”. To dopiero trzy języki, a bywa ich znacznie więcej: dla szefa dla arcyszeffa i wielkiej władzy; dla podwładnego i dla jego podwładnych; dla inspektora kontroli i dla zaufanego pracownika, który powinien wiedzieć jak załatwić coś, czego załatwić nie należy. Dziennikarze — jako fachowcy od obróbki słowa — potrafią chwycić wiele nianusów, słów zapożyczonych, słów obcego (w

danej sytuacji) pochodzenia. Dlatego nasi poligloti niechętnie rozmawiają z dziennikarzami i nawet wydają instrukcje „P-dzien”, analogicznie do „P-poż”, a dotyczące obrony przeciwdziennikarskiej.

Nie piszemy jednak przyczynką do sprytologii frazeologicznej, nie chcąc ułatwiać życia spryciarzom niezbyt fineryjnym. Jeszcze tylko — wzorem paru felietonów, zakończonych pytaniami pod adresem Czytelników naszego pisma — chciałbym zapytać: czy ktoś wie cokolwiek o sześciu i pół miliardach złotych polskich, które emigracyjny Bank Polski wydrukował w 1940 roku w Londynie i tam zdeponował, aby nasi emigracyjni przywódcy po zakończeniu wojny nie wrócili do kraju z pustymi rękami? Oczywiście, te banknoty mają wartość makulatury, ale przecież stanowią jakąś ciekawostkę, która przypomniała mi się w związku ze zwrótem naszego przedwojennego srebra przez Francję. Czy ktoś widział złote polskie emisji 1940. Londyn?

Czy ktoś widział nad Polską latające talerze?

CWIEK

## PROPOZYCJE

### KARP LUDWIKA

Każdy z nas ma jakieś słabości. Jeden na przykład bardzo lubi pieniądze, inny wino, a jeszcze inny kobiety. Są tacy, którzy lubią śpiew i tacy, którzy lubią majsterkowanie. Mój przyjaciel Ludwik natomiast bardzo lubi karpia w galarecie. Kiedy więc na przedmieściu Łodzi w 1976 i 1977 w sklepach pojawiły się karpie w wielkiej ilości, mój przyjaciel postanowił zrobić sobie większy niż zapas. Kupił najpierw karpie na święta, aby tradycji stało się zadość, a później jeszcze po świętach, aby żona mogła mu zrobić jego ukochanego karpia w galarecie.

— Ludwiczku — mówiła z troską żona — gdzie my te karpie będziemy trzymali? Przecież w wannie nie możemy na, są dzieci, które trzeba codziennie kąpać.

— Nie się nie martw — odpowiedział na to Ludwiczek — karpie będziemy trzymali w malej wannie, której już się nie używa, a którą postawię się w porzek na dużej wannie.

I jak rzekł tak zrobił. W malej, różowej wannie zaczęły otadać pluskać karpie. Było ich pięć. Oleńka, żona Ludwika, zrobiła najpierw jednego karpia w galarecie, później dwa, bo miała przyjąć gości, i tak w różowej malej wannie pozostały jeszcze dwa dorodne karpie. Pluskały się one najpierw radośnie, jako że zamiast pójść na patelnie, mogły żyć wprawdzie w ograniczonej różowej przestrzeni, ale zawsze,

a później widać doszły do wniosku, że to żadne życie, bo w którymś dniu wpadł do kuchni Błazejek i krzyknął:

— Mamol! Karp wyskoczył!

Mama poszła do łazienki i jako żywo zobaczyła, że karp leży sobie na dnie dużej wanny i rozpaczliwie bije ogonek. Włożyła go więc z powrotem do malej, różowej wanneki. Woda zmieniła i wróciła do swoich prąd domowych. Ale karpie widać dość już miały życia w niewielkiej różowej przestrzeni, może im wola nadto chlorowana nie smakowała, a może koloru różowego nie lubiły, gdyż co chwila któryś wyskakiwał z malej wanneki i lądował na dnie dużej wanny. Ludwik po nocy wstał, aby ładować uparte karpie z powrotem do malej wanny. A one furt nie, tylko chciały dopełnić samobójstwo.

Aż pewnego dnia jeden z karpie zginał na dobre. Oleńka właśnie prała w łazience, praika furcała, dzieci bawily się w drugim pokoju, gdy zadzwonił telefon. Rozmowa nie była zbyt długa, bo cóż to dla kobiety jakies tam 10 minut, w każdym razie, gdy Oleńka wróciła do łazienki, w różowej wannie pluskał smutnie tylko jeden karp. Drugiego n'e było. Ki licha — pomyślała i rozpoczęła poszukiwania. Ale karpia samobójczy nie było ani w wannie, ani pod wanną, ani w koszu na brudną bieliznę ani w umywalce. Uderzył ogonem — pomyślała biedna Oleńka — to go znajdę — i powróciła do prania. Jakież było jej zdziwienie, gdy wyjmując Ludwiczkowe spodnie, w nogawce znalazła karpia samobójcę. Szybko włożyła go pod strumień zimnej i czystej wody, co karp przyjął z wdzięcznością, obficie ze skrzelu puszczając mydlane bańki. Scenę tę zoba czył Błazejek i krzyknął do siostrzyczki:

— Justynka, choć zobacz mama wyprała karpia, a teraz go olużę!

Karp wrócił do różowej wanneki. Ma się nawet dobrze jako że Oleńka doszła do przekonania, że karp też stworzenie i jeśli nawet przeznaczony jest na karpia w galarecie dla Ludwiczka, to mimo wszystko dłużej niż dwa tygodnie bez jedzenia nie wytrzyma. Teraz więc oba karpie sa dokarmiane i cierpliwie oczekują na wykonanie wyroku śmierci, bo mimo wszystko muszą znaleźć się w galarecie Ludwika to bowiem uwielbia.

Uwabiony tą całą historią która — przysięgam — nie zmyśliłem, opowiedziałam ja znajomemu taksówkarzowi. A on na to:

— Kochany, czegoż to ludzie nie trzymają w domu. O kotach i psach już nie mówię bo to teraz normalny domowy zwierz. Ale jeden facet, co miał pod Łodzią fermę zrobił sobie z blokowego „M-2” wylegarnię drobiu. Sasiaduje

smierdziało, po nocach coś im popiskiwalo, pojełkawało, nawet już w duchy gotowe byli uwierzyć, że jednego dnia coś się w tajemniczym mieszkaniu zaczęło konć, drzwi wyłamały i zobaczyli, że w wannie pływa 40 kaczek a po pokojach biega i grzeje się pod lampami ze sto kurcząt. A na innym osiedlu znów facet trzymał w domu... kózę i wieszorem znosił ją na rekach na trawnik, aby sobie bydlatką trawki podjadło. Raz też zdarzyło mi się, że facet zapomniał w taksówce króliki, na szczęście pamiętałem gdzie no wiozłem, bo inaczej musiałbym sam hodować te futrzane stworzonka.

Mój znajomy taksówkarz źle mnie jednak zrozumiał. Ludzie od dawna przywiązani są do zwierząt, co niekiedy wychodzi im na dobre, ale częściej na gorsze zwierzętom, ale to inna sprawa. Trzymają w domach różne stworzenia i je śli to nie zakłada pojęcia sąsiedzi. To ich sprawa. Przysięgam jednak, że zakłada nie hodowlę karpie w malej, różowej wannie, rzecz to wielce oryginalna, a wszystko dlatego, że mój przyjaciel Ludwik, który uwielbia karpia w galarecie, nie zawsze może znaleźć tę potrawę w karcie naszej gastronomii. Ot i wszakso.

MARCIN RODAK

### SPROSTOWANIE

W numerze „Odgłosów” z dnia 9.I.1977 r. z winy redakcji technicznej podano błędnie tytuł felietonu Marcina Rodaka. Błędny tytuł brzmiał „Warto polubić muzykę”, a powinien „Warto polubić fizykę”. Za pomylkę bardzo przepraszamy.

Rajmund Rembelski, prezes Komisji Województwa Mazowieckiego, sprowadzając do Łodzi w 1823 roku pierwszych osadników przemysłowych przywieźli im niezależnie od daleko idącej pomocy materialnej, także całkowitą swobodę kulturywania obrzędów i zwyczajów, do jakich przywykli w ojczystym kraju. Jednym z takich zwyczajów, mocno zakorzenionym wśród przybyszów był nawyk spędzania wolnego czasu w tak zwanych „bierstuchach” przy kufku piętistego piwa.

Skłonność niemieckich osadników do pociągania z kufka wywołała potrzebę zbudowania w Łodzi warzelni piwa. Zadania tego podjął się zgierski fabrykarz Karol Saenger. Otrzy mawszy od Rembelskiego dwa place położone pomiędzy stawem staromiejskim i ulicą Północną, przeniósł się do Łodzi i w 1824 roku wystawił tu farbiarnię, a nieco później także browar. Drewniane zabudowania browaru stały w na rożniku ulic Nowomiejskiej i Północnej.

Początkowo głównym odbiorcą piwa z browaru Saengera był Jan Adamowski, właściciel oberży przy Nowym Rynku nr 9 (dziś plac Wolności), jedynie podówczas w tej części miasta. W lokalu Adamowskiego sukienicy z Nowego Miasta spędzali wieczory na dogwarkach przy piwie. Tutaj także, przy napełnianych kufelkach, odbywały się spotkania i narady członków Towarzystwa Strzeleckiego.

W 1846 roku szybko rozwijająca się Łódź posiadała już trzy browary. Pierwszy browar łódzki, po śmierci jego właściciela w 1831 roku, prowadził nadal wdowa Henrietta Saenger. Gdzie i w jakim czasie powstał drugi browar. Fryderyk Otto, trudno dzisiaj usta-

lić. Natomiast wiadomo, że największa w owym czasie warzelnia piwa, zbudowana w latach 1841—1844 przez Antoniego Bittdorfa, mieściła się na

## WACŁAW PAWLAK O PIWIE, PIWOWARACH I PIWNYCH OGRÓDKACH

posesji u zbiegu ulic Ogrodowej i Zachodniej. Browary łódzkie zatrudniały podówczas 19 robotników.

Pomyślnym okresem dla rozwoju piwowarstwa w Łodzi była druga połowa XIX wieku. W znacznej mierze przyczyniło się do tego ukaz carski z 1844 roku, zwalczający szeroko wówczas rozpowszechniony alkoholizm i ograniczający stopniowo liczbę szynków w miastach. Na miejsce szynków otwierano więc piwarne, zwane wtedy bawariami, na które nie trudno było uzyskać koncesję. Wkrótce pojawiły się one niemal na wszystkich narożnikach ulic śródmieścia Łodzi.

W 1860 roku miasto posiadało już piętnaście bawarii. Wzmocniona konsumpcja piwa spowodowała dalszy rozwój przemysłu piwowarskiego. W 1852 roku browar Bittdorfa przy ul. Ogrodowej nr 9 nabyli Bracia Gehlig, którzy przebudowali go na browar parowy, a przy okazji znacznie rozszerzyli. Po latach kilkunastu Gehligom przybył groźny konkurent, Karol Anstadt. W 1867 roku założył on przy ul. Średniej nr 34 (dziś ul. Nowotki) nowoczesny browar parowy i

z miejsca przystąpił do walki konkurencyjnej z monopolizującym dotąd sprzedaż piwa na rynku łódzkim browarem Braci Gehlig. Piwowarzy nie przebiegali w metodach walki, oskarżając się wzajemnie o fałszowanie piwa poprzez dodawanie niedozwolonych środków chemicznych.

Wkrótce do rywalizującej z sobą dwójki piwowarów łódzkich dołączył trzeci, niejaki Miłsch. W 1878 roku, przy drodze wiodącej do lasu miejskiego, nazywanej od jego nazwiska szosą Miłscha (dziś ul.

Me warunki miejscowe na to pozwalały, otwierali przy swoich lokalach dla wygody gości niewielkie ogródki. Przy stolkach, gęsto rozstawionych pod koronami drzew, piwosze delektowali się chłodnym, burztynowym napojem. „Piwna ogródki” dawały spore dochody ich posiadaczom. Pozazdrościli im piwowarzy i dla pomnożenia własnych zysków również zaczęli zakładać ogródki, pomyślane jednakże na większą skalę. Pierwszy uczynił to Karol Anstadt, który pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku niemałym nakładem kosztów założył w sąsiedztwie swego browaru pięknie urządzone ogródki publiczne, zwany Helenowem (dziś ul. im. 19 Stycznia). Inwestycja ta okazała się w pełni opłacalna. W ciągu tylko jednej letniej niedzieli potrafiło wypić w Helenowie 150 antałów piwa. Oczywiście — z browaru Anstadta.

O wiele skromniej prezentował się ogród Gehligów, położony przy ul. Letniej na Kozinach. W przeciwieństwie do Helenowa, odwiedzanego głównie przez łódzką burżuazję, ogród Gehligów był miejscem spacerów i zabaw ludzi ze sfery uboższych. Zrozumiałe, że bywalcy tego ogrodu mieli możliwość raczenia się piwem wyłącznie produkcji Gehligów. Podobnie wyglądała sprawa w usytuowanej niedaleko lasu miejskiego „Leśniczówce” Miłscha, którą właściciel zaopatrywał w piwo z własnego browaru. Z opisywanych tu zakładów piwowarskich zachował się do dziś browar Succ. K. Anstadta. Czynnym jest on obecnie pod szyldem Łódzkich Zakładów Piwowarskich. Dawny browar Braci Gehlig uległ w czasie ostatniej wojny całkowitemu zniszczeniu. Na tym miejscu krzewi się teraz zieleń parku Staromiejskiego. Pod jego powierzchnią kryją się dotąd obszerne piwnice, w których niegdyś składowano piwo.

Przetwały zawieruchę wojenną budynki browaru Miłscha, a następnie Schnerra przy ul. Kopernika. Zabudowania te nadal są użytkowane, jednakże dla potrzeb nie mających nic wspólnego z piwowarstwem.



Foto: Archiwum

## POWIĘKSZENIA

CIEKAWOSTKI PRZYRODNICZE

W „GR” interesujący wywiad na temat przyrody z prof. Jakubem Mowszowiczem. Dziennikarz zadał pytanie: „Co pan profesor sądzi o podnoszonych swego czasu zarzutach nieścisłości opisu litewskiej przyrody w „Panu Tadeuszu”?

Profesor Mowszowicz odpowiedział: „z całą odpowiedzialnością twierdząc, że uchybienia są nieistotne”. Otóż — naszym zdaniem — zupełnie nieistotny jest problem podniesiony przez dziennikarza. „Pan Tadeusz” jest utworem wielkim i uchybienia przyrodnicze nie umają mu rangi, dodając natomiast uroku. Bawiem uchybienia są i to — wbrew temu, co mówi prof. Mowszowicz — znaczne.

Pisze na ten temat Julian Przyboś: „Obrazy przyrody w „Panu Tadeuszu” są zaisze jakby wyjęte z raju wymarzonego przez realiste. W raju tym równocześnie kwitną kwiaty wiosenne i dojrzewają owoce jesieni. W tym samym czasie fiołki i astry zdobią jakiś idealny sezon, w którym mak mamy frencej wielkością farb żywych, różnych i w którym dojrzewa herbacina, żniwiarze kończą żniwo i koszą się trawę, a święta Matki Boskiej Zielnej przypada na Niedzielę Palmową...”

Kazimierz Wyka pisze natomiast: „Kapusta jest dojrziała, związana w wielkie lby, a zatem jest to kapusta jesienna; równocześnie kwitnie bób (...). Słowem mieszają się pory roku”.

## W „OSTOJI POD DĘBAMI” O MYŚLIWYCH I ZWIERZYNI ZIMOWA POGWARKA

Święta za pasem! Łagodniejsza serca naczelnych.

— O myśliwstwie? Trudno, napisz coś, tylko krótko, bo to sport elitarny.

Święta za pasem! Hardziejserca myśliwych.

— Niech pan o nas napisze, redaktorze, tylko jakoś tak, no wie pan, bo myśliwstwo — mówią — to elitarne zajęcie.

Święta za pasem! I od czasów, gdy jeszcze nie było prasy, zainteresowanie myślistwem w tym okresie rosło. Raz, że potrzeby stołu. Dwa, że tradycje związane z lasem, łowieckimi obrzędami. Trzy, że to po prostu ciekawe, omazyli relikwii w naszej zadyszanej nowoczesności.

Zasiadamy tedy w obszernej, pachnącej sosnowym drewnem izbie myśliwskiej „Ostoji pod debami”, by wśród sarnich i dziczych skór, jelenich i danielich

poroży, zastępych w locie jastrzębi i cietrzewi, pogawędzić o łowieckich sprawach.

— Jak doszło do powstania tej „Ostoji”? To przecież nie myśliwski domek, do jakiego zapraszaliście, a cały zajazd!

— No, tak to się rozrosło. Myśliwi, jak pan wie, to silna grupa...

— Pod wezwaniem Sw. Huberta!

— Niech i tak będzie! Koło myśliwskie skupiające ludzi różnych profesji to znaczna siła. Ten zajazd, w Mszczużach, niedaleko Piotrkowa, tuż przy autostradzie w ostoji rzadkich stuletnich dębów zbudowaliśmy z inicjatywy kolegi Stanisława Janickiego. Projekt w czynie społecznym machnął architekt kolega Bohdan Gruszczyński z Piotrkowa. Budowa opiekował się nadleśniczy Mieczysław Słezak...

— Ale budowali — jak słyszałem — gorale z Bukowiny!

— To widać! Nikt nie potrafił tak budować z drewna. Myśliwi z koła łowieckiego nr 14 z Łodzi — oczywiście pomagali w prostszych robotach, no i zapewnili finanse na budulec.

— W jaki sposób? Wiem, że ten zajazd kosztował około półtora miliona!

— Każde koło prowadzi swoje gospodarstwo łowieckie. Hodujemy zwierzyne, prowadzimy zarówno jej odstrzał, jak i odłów. Na jelenie, sarny, dziki i danielce przyjeżdżają myśliwi zagranicą. Zostawiają dewizy, zabierają nogi! Żywe zajace i kuropatwy sprzedajemy do RFN, Włoch i Francji... Przykładowo: za jednego rogacza otrzymujemy około 30 tys. zł. Złowiliśmy żywcem 100 zajacy — to już 45 tysięcy. 200 kuropatw — 36 tysięcy. A jeszcze

dochodzi zwierzyzna upolowana na nasze stoły i na eksport. Starczyło i na budowę i na wyposażenie.

— Zajazd ma więc i te ogromne świetlice, 8 dwu-trzyosobowych pokoi hotelowych, kuchnię, łazienki, prysznic, wszystko co trzeba dla przyjęcia myśliwych własnych i gości z zagranicy?

— Warto podkreślić, że mieści się w ocalałym przed siekiera dębowym lesie, opodal jest dwuhektarowy rezerwat lipy drobnolistnej, jeden z trzech zachowanych w kraju, no i do brzoźów zbiornika sulejowskiego w prostej linii, drogą przez las mamy osiem kilometrów.

— A wasze gospodarstwo łowieckie? Czy można policzyć zwierzęta?

— Można. Mamy 18 danieli, co roku przybywa 5, 6 sztuk Mamy 85 jeleni, 200 saren, 40 dzików, bażanty, zajace, kuropatwy. Rocznie możemy upolować półtora tysiąca szaraków, 20 jeleni, tysiąc kuropatw, 60 saren, dwadzieścia dzików.

— Ilu was jest w kole „Wisłucka”?

— Trzydziestu czterech. Koło obchodzi właśnie trzydziestolecie.

— Czy w tym czasie w sposób widoczny zmienił się wasz skład?

— Bardzo nieznacznie.

— To świadczyło by jednak o tej hermetyczności myślistwa, o tej jednak — elitarności o jaką się was posadza!

— Myśliwym zostaje się na całą życie. Jest się nim póki nogi człowieka niosą. A liczebność kół myśliwskich jest ograniczona: rozmiarami terenów łowieckich, ilością zwierzyzny, wreszcie wymogami natury moralnej. Po pierwsze sprawa posiadania broni, nie można jej przecież dać do ręki każdemu. Po drugie etyki łowieckiej. Tzw. „miejsiarze” czyli polujący nie według surowych nad wyraz reguł, ale według potrzeb rodziny i znajomych... Są oni natychmiast relegowani z naszych szeregów. Po trzecie: na pewno myśliwym trudno zostać. Ale czy ten wysoki próg nie jest zarazem gwarantem, że członkami naszych kół będą ludzie o wysokim morale, szanujący przyrodę, pomagający zwierzyźnie w trudnych chwilach jej przetrwania, mający zapał do społecznego działania, czego dowodem, choćby ta nasza „Ostojka pod debami”.

— Dziękuję! Ja i tak jestem o tym przekonany! Czy jednak przekonałmiś wszystkich?

— Ale jak zawsze i dziś poezjąmy się tradycyjnym: DĄRZ BOR!

Tekst i foto:  
WIESŁAW MACHEJKO

